

P O Z N A Ń S K I



PEGAZ

FINANSY - KOMUNIKACJA SPÓŁNOŚĆ - KULTURA 61/2006



Dobry obyczaj – niezbędny nadzwyczaj

Kiedy i jak zaistnieć – w kręgu rodzinnym i towarzyskim? Na czym polega sztuka konwersacji i dyplomacji? A przy okazji: jak zachowywać się w teatrze, na koncertach i wernisażach? Jak pięknie się wyróżniać? Co to jest tolerancja? Jak i kiedy kształtują się „niezdrowe układy” i co to jest „cnota manipulowana”? A dalej: Samochwała – Nadąsana obraza – Takt i dystans! Podróż, oczywiście – ale ...Europa nie zawsze da się lubić. Od kiedy przechodzi się za zwyczaj „na ty”? I jeszcze: Kolo-kwium z kolokwializmu ...

Wszystkie zasygnalizowane powyżej zagadnienia, sprawy (i sprawki) omawia, podpowiada i komentuje profesor dr hab. Michał Iwaszkiewicz, znawca tradycji i dobrego obyczaju, rektor Wyższej Szkoły Umiejętności Społecznych w Poznaniu – w swej książce zatytułowanej „Poradnik dobrych obyczajów”.

Powstał jako kompendium użytecznej wiedzy dla każdego. Jako że dobre obyczaje sprzyjają egzystencji w społeczeństwie, respektują jego normy współżycia, bez stwarzania konfliktów w stosunkach międzyludzkich. Nazwa kompendium wydaje się najwłaściwsza, gdyż oddaje źródła, jakimi są zarówno dotychczas wydane książki i artykuły naukowe i publicystyczne Autora, jego wykłady akademickie, zajęcia w ramach Centrum Doskonalenia Kadr Kierowniczych Ministerstwa Handlu Zagranicznego w zakresie protokołu dyplomatycznego. Dodajmy do tego audycje na antenie Radia Merkury oraz ukazującą się od czterech lat w „Gazecie Poznańskiej” rubrykę „Szkoła dobrych manier” we współpracy z red. Markiem Zaradnikiem.

Na 213 stronach „Poradnika dobrych obyczajów” profesor Michał Iwaszkiewicz

odpowiada na wiele dziesiątków pytań. Czyni to w sposób wciągający, zajmujący, przy czym jego rady i opinie mają ogromną siłę przekonywającą. Autor nie ucieka od spraw drobnych, codziennych – chociażby takich jak moda (tytuł rozdziału zatytułowany został przekornie „Pół kroku za modą...”) czy też „Świąteczne rozkosze i katusze” z Sylwestrem włącznie.

Autor nie „podsumowuje” swoich wywodów, ale w zamian daje nam jeszcze uwagi na temat naszego stosunku do „naszych mniejszych braci” czyli zwierząt, ustosunkowuje się do kulturowanych jeszcze przesądów. No i przedstawia własną ocenę takich obiektów kulturalnych Poznania jak Stary Browar i Centrum Kultury Zamek. Zakończę moje uwagi o „Poradniku dobrych obyczajów” zdaniem Autora, które warto zapamiętać:

– Czy kultura jest w stanie przetrwać bez mecenatu?

– Nie. zwłaszcza, że absolutnym nadużyciem jest używanie sformu-

lowania „mecenat państwowy”. Nie ma takiego tworu. Państwo ma konstytucyjny obowiązekłożenia na kulturę... Są projekty, które muszą być finansowane przez samorząd lokalny lub budżet centralny, ale szczupłość budżetu sprawia, że te środki nie są w stanie zaspokoić wszystkich potrzeb. Zatem szanujemy mecenasów i piętnujemy szalbierzy, bo jeden i drugiego na to zasługują.

Zdzisław BERYT

Poradnik dobrych obyczajów.

Profesora Michała Iwaszkiewicza

Rozmowy przeprowadził Marek Zaradnik

Wydawnictwo Kurpisz, str.213

Rysunki Grzegorza Bąkowskiego.



W „Pegazie” między innymi:

Jak powstał Wydział Artystyczny WSUS	s. 2-3
Estonia bliżej nas	s. 4-6
Aula Nova	s. 7
Powołanie Ligi Dobrych Obyczajów	s. 8-9
Chiński artysta z polskim dyplomem	s. 11
Szkoła dobrych manier	s. 14-15
Jak Gniezno podbiło Brukselę	s. 26
Zamiłowanie w sztukach ciągle aktualne	s. 27
Rocznica pierwszego buntu PRL	s. 32-33
Niekończąca się gra	s. 34-35
Szkoła z szachownicą w głowie	s. 36-37
Mistrz i Maciej	s. 38-39
Kaliskie Spotkania Teatralne	s. 40-41
Myśli Katarzyny Branieckiej	s. 44-45
Jaka była Malta 2006?	s. 46-47
Z życia podejrzane	s. 10,13, 21, 25,31,48
Przeczytane – przemyślane	
.....	s. 12-13, 16-17, 22-25, 28-30, 42-43



FINANSE – KOMUNIKACJA SPOŁECZNA – KULTURA

Redakcja: ul. Głogowska 26
60-734 Poznań, tel. (061) 886 28 35
Redaktor naczelny: Tomasz Dymaczewski
Opracowanie graficzne: ORNATUS tel. 0 600 332 920
Druk i oprawa: STARDRUK, Poznań, ul. Św. Antoniego 24,
Wydawca: Ośrodek Badania Rynku Sztuki Współczesnej
Poznań, ul. Głogowska 26

ISSN 1232-3292

© © Poznań 2005, Wszelkie prawa zastrzeżone

nr indeksu 468

Zmowa dobrej woli

czyli o tym, jak powstał Wydział Artystyczny Wyższej Szkoły Umiejętności Społecznych.

Jak daleko sięga historia Wyższej Szkoły Umiejętności Społecznych, nigdy jeszcze hol Uczelni nie był świadkiem tak dynamicznego i barwnego pokazu. W nieoficjalnych annałach WSUS zapisano to wydarzenie jako Dzień Szczęśliwej Trzynastki (tak się bowiem złożyło, że w ramach specjalności „projektowanie ubiorów” broniono trzynastu dyplomów i trzynastokrotnie modelki prezentowały nowe kolekcje). W taki oto sposób dopełniło się to, co jeszcze nieco wcześniej wydawało się niemożliwe: Wyższa Szkoła Umiejętności Społecznych wzbogaciła się o nowy wydział z trzema kierunkami studiów, a społeczność akademicka postawionej w stan likwidacji Wyższej Szkoły Sztuki Stosowanej „Schola Posnaniensis” zyskała możliwość kontynuowania nauki i pracy.

Już od dłuższego czasu wiadomo było, że niepaństwowa uczelnia artystyczna, której siedziba mieściła się w Poznaniu przy ulicy Krańcowej, przeżywa spore trudności. Nie dotyczyły one poziomu nauczania – ten powszechnie uznawano za wysoki – ale sposobu zarządzania szkołą, oraz jej ekonomicznych i finansowych podstaw. Warunki bytowe w nowoczesnym bądź co bądź gmachu były coraz gorsze, a wizja zamknięcia Scholi coraz bliższa. W środowisku akademickim Poznania zdawano sobie sprawę z dramatyzmu sytuacji, jak również i z tego, że grupa pedagogów Szkoły na czele z prorektorem, prof. dr hab. Andrzejem Maciejem Łubowskim poszukuje wyjścia z dramatycznego położenia, podejmując konsultacje z przedstawicielami niektórych szkół wyższych. O działaniach grupy pedagogów wiedział między innymi rektor Akademii Sztuk Pięknych, Wojciech Müller i deklarował wsparcie dla tych działań swojej uczelni jako najbardziej zbliżonej programowo do Scholi Posnaniensis. Rektor ASP przypomniał jednak, że istnieje określona droga prawna, w której ważną rolę odgrywają Państwowa Komisja Akredytacyjna i ministerstwo właściwe dla szkół wyższych. Ta opinia wskazywała, że krystalizowała się już



wówczas koncepcja zapewnienia kontynuacji i ciągłości nauczania dla studentów WSSS poprzez przyjęcie przez jedną z poznańskich szkół wyższych opcji uruchomienia kierunków nauczania tożsamych lub zbliżonych z profilem edukacyjnym Scholi. Rozwiązania pośrednie, proponowane przez niektóre z wyższych uczelni niepaństwowych nie mogły satysfakcjonować ani studentów, ani wykładowców. Sprowdzały się do propozycji indywidualnych przyjęć na kierunki studiów, które nie mogły dać wykształcenia artystycznego, gdyż składający oferty nie mieli uprawnień do nauczania w tym zakresie. Na takie rozwiązanie zdecydowała się zresztą niewielka część studentów. Inni, zwłaszcza ci, którzy w nieodległej perspektywie bronić mieli dyplomów licencjackich bądź magisterskich w napięciu, ale i z nadzieją oczekiwali na inne możliwości.

Nazwa Wyższej Szkoły Umiejętności Społecznych pojawiła się po raz pierwszy w kontekście obrad Senatu Wyższej Szkoły Sztuki Stosowanej, który podjął decyzję o wszczęciu procedury likwidacji szkoły wyższej. Decyzja została przekazana do wiadomości studentów z jednoczesnym wskazaniem na WSUS jako miejsce, które – przy spełnieniu wymogów Ustawy „Prawo o Szkolnictwie Wyższym” z lipca 2005 roku – stanie się placówką akademicką, władną przejąć ich edukację. Po oficjalnym ogłoszeniu upadłości WSSS z powodów finansowych, na walnym zebraniu studentów i wykładowców byłej już Scholi z władzami WSUS w jej siedzibie przy ulicy Głogowskiej, rektor tej uczelni, prof. dr hab. Michał Iwaszkiewicz poinformował o złożeniu do Państwowej Komisji Akredytacyjnej wniosku o zgodę na utwo-

zenie kierunku artystycznego na poziomie studiów licencjackich i magisterskich. W tym sensie należy rozumieć termin „przejęcie”, nader często stosowany przez niektóre media dla określenia stanu faktycznego – kontynuacji nauki i pracy w ramach innej placówki akademickiej.

Dalsza część historii Wydziału Artystycznego WSUS to opowieść o „zmowie” wielu ludzi dobrej woli, dla których istotne było, aby tok dydaktyki doznał możliwie jak najmniejszych zakłóceń, a dyplomanci mogli bronić swoich prac w terminie. Parlamentarzyści składali interpelacje na ręce prof. Stefana Jurgi, podsekretarza stanu w Ministerstwie Nauki i Szkolnictwa Wyższego odpowiadającego za pion edukacji. Dla Ministerstwa koncepcja z udziałem WSUS stanowiła rozwiązanie tożsame z wypełnieniem zobowiązań, jakie nakładał na nie art. 26 Ustawy „Prawo o Szkolnictwie Wyższym”. Należy podkreślić, że uczyniono tam, co tylko możliwe, aby rozpatrzeć pozytywnie złożony wniosek

zostaną zajęcia, które nie mogły dojść do skutku w Scholi. Wreszcie, co najbardziej istotne, wraz z początkiem nowego roku akademickiego studenci i wykładowcy spotkają się w nowej siedzibie Wydziału przy ulicy Kolejowej. W toku intensywnych prac budowlano – remontowych, na blisko 1000 metrach kwadratowych powierzchni powstała infrastruktura niezbędna dla nauki i pracy studentów kierunków: malarstwo, wzornictwo i architektura wnętrz. Czternaście pracowni, pomieszczenia dydaktyczne, a także pokoje gościnne dla wykładowców dojeżdżających z Warszawy i z Łodzi zajmują całą kondygnację w budynku, w którym nowoczesne rozwiązania współlistnieją ze stylową architekturą wnętrza z przełomu XIX i XX stuleci. Siedziba Wydziału świadczy o tym, że uczelnia przywiązuje do swoich struktur artystycznych dużą wagę. Będzie to z pewnością jedna z najważniejszych wizytówek świadczących zarówno o WSUS, jak i o aspiracjach tej szkoły.

Do łańcucha instytucji i ludzi dobrej woli dołączyła też – zgodnie z wcześniejszymi zapowiedziami rektora Wojciecha Müllera – poznańska Akademia Sztuk Pięknych. Podpisanie w lipcu porozumienia WSUS i ASP pozwoliło między innymi na realizację dyplomów magisterskich byłych studentów WSSS w tej właśnie uczelni.

Z dniem 1 października – początkiem roku akademickiego, Wydział Artystyczny wraz ze swoimi trzema kierunkami stał się jedną z podstawowych struktur WSUS, obok wydziałów: Nauk Społecznych (Zarządzanie i Marketing, Ochrona Prawna Dóbr Kultury), Humanistycznego (Dziennikarstwo i Komunikacja Społeczna, Informacja Naukowa i Bibliotekoznawstwo), Zamiejscowego w Katowicach (Dziennikarstwo i Komunikacja Społeczna, Stosunki Międzynarodowe), Zamiejscowego w Kutnie (prawo II i I stopnia) i Zamiejscowego w Koninie (Stosunki Międzynarodowe). Tym samym zmowa ludzi dobrej woli dokonała tego, co wydawało się trudne, wręcz niemożliwe – w imponującym tempie i stylu zbudowano nową strukturę w oparciu o studentów i kadre likwidowanej szkoły wyższej. Połączono wysoki poziom, godne szacunku tradycje i rokujące wielkie nadzieje na przyszłość perspektywy.

Tomasz DYMACEWSKI

dy. prof. zwyczajny WSUS



w części dotyczącej trzyletnich studiów zawodowych. W świetle wypowiedzi ministra Jurgi, dla którego powołanie Wydziału Artystycznego w WSUS jest optymalnym rozwiązaniem trudnego problemu dalszej edukacji młodzieży z uczelni postawionej w stan likwidacji, można się spodziewać dalszych pozytywnych wydarzeń w postaci uzyskania przez WSUS zgody na dwuletnie studia uzupełniające magisterskie na nowopowstałym wydziale.

Niemal nazajutrz po uzyskaniu zezwolenia, odbyły się pierwsze obrony prac licencjackich. Ustalono również, że pomimo trwania wakacji, w trakcie organizowanych regularnie zjazdów, przeprowadzone

Estonia bliżej nas



Pojętni uczniowie i naturalni nauczyciele

Z inicjatywy Konsulatu Honorowego Estonii w Poznaniu powstanie polsko-estońskie centrum kulturalno-edukacyjne. Ideę tę wspierają Wyższa Szkoła Umiejętności Społecznych i Uniwersytet im. Adama Mickiewicza. Na temat jego powołania rozmawiali podczas pobytu w Estonii członkowie I wielkopolskiej misji edukacyjno-naukowej. Jej inicjatorem był Konsulat Honorowy Estonii w Poznaniu z konsulem, profesorem Michałem Iwaszkiewiczem. W jej składzie znaleźli się uczeni z Wyższej Szkoły Umiejętności Społecznych, Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza a także przedstawiciele Wielkopolskiej Izby Przemysłowo-Handlowej i mediów. O powołaniu centrum dyskutowano m.in. z rektorem Uniwersytetu Tallińskiego prof. Rein Raudem.

Stolica Estonii Tallin nazywana jest perłą Europy Północnej. Krzyżują się w nim historia i nowoczesność. Obok licznych zabytków pną się w górę nowoczesne hotele, a na turystów czeka mnóstwo klubów i dyskotek.

A że Estonia jest jednym z najszybciej rozwijających się krajów Europy sprawia,

ze pojawia się tam coraz więcej turystów nie tylko ze Skandynawii.

Z Poznania do Tallina mknęliśmy autobusem Neoplan wsparci nieocenioną pilotką Bożeną Kisielewską, do której na miejscu dołączył pracujący w Estonii Damian Skowron.

Jechaliśmy po drodze zatrzymując się najpierw w Suwałkach, a potem w położonej nieopodal Rygi Jurmali. Po przyjeździe do Tallina zamieszkaliśmy w hotelu Oru. To nowoczesny, trzygwiazdkowy hotel zbudowany w zabytkowej dzielnicy Kadriorg nieopodal portu. W pobliżu hotelu mieści się amfiteatr, w którym odbywają się niezwykle ważne dla Estończyków Święta Pieśni. Mówi się, że są dla nich tak ważne jak dla Polaków były spotkania z Janem Pawłem II. Bo pieśń pozwalała przetrwać w latach niewoli. Na estradzie może znaleźć się jednorazowo 16 tysięcy chórzystów, ale w 1995 roku śpiewało tam 35 tysięcy osób. Ludzie związani ze Świętami Pieśni byli w czołówce przemian wolnościowych Estonii, dlatego mówi się, że kraj ten przeszedł śpiewaną rewolucję. Na Święta Pieśni przejeżdżały także zespoły z Polski.

Między Grubą Małgorzatą a Krótką Nogą

Z amfiteatru blisko do wioski olimpijskiej, w której budowie uczestniczył m.in. polski



Spotkanie w polskiej Ambasadzie w Tallinie. W środku konsulowie Michał Iwaszkiewicz i Piotr Starzyński

Budimex. To tam odbywały się regaty podczas Igrzysk Olimpijskich Moskwa 1980. Na terenie wioski znajduje się jedyny na terenie byłego ZSRR kościół ekumeniczny zbudowany za władzy radzieckiej. Takie są wymogi prawa olimpijskiego i Rosjanie musieli zgodzić się na jego budowę. Jadąc z wioski olimpijskiej mijamy ruiny największego kościoła palowego nad Bałtykiem – klasztoru Brygitek. Po wybudowaniu przetrwał tylko 100 lat. Zamknięto go w czasach reformacji, a zniszczyła podczas wojny inflanckiej armia Iwana Groźnego.

Najwięcej jednak zabytków znajduje się w Górnym i Dolnym Mieście. Górne Miasto było zawsze miastem arystokratów – Niemców bałtyckich. Jego centrum to Plac Kościelny z Katedrą Marii Panny z unikalną kolekcją herbów rodowych Niemców Bałtyckich oraz kościół Świętego Olafa z najwyższą w XV wieku, bo liczącą wtedy 160 metrów wieżą w Europie. Używano jej jako latarni morskiej. Niestety wieża płonęła co sto lat. Odbudowana w XIX wieku liczy dziś 123 metry. W Górnym Mieście w dawnym Zamku Krzyżackim znajduje się dziś gmach Parlamentu Estońskiego. Z Górnego Miasta malowniczymi schodkami zwanymi „Krótka Noga” schodzimy do Dolnego Miasta. Rozwijało się ono od XIII wieku jako hanzeatyckie miasto kupieckie. Jego ozdobą jest Plac Ratuszowy z murem obronnym i 20

basztami, z których najważniejsze to Gruba Małgorzata, Chudy Eryk i Wysoki Herman. Tam też znajduje się czynna non stop od 1422 apteka ratuszowa. Tam wreszcie w utrzymanej w średniowiecznym stylu restauracji Olde Hansa uczestniczyliśmy w święcie mieszczańskim czyli biesiadzie z 15 dań. Nie zabrakło oczywiście tradycyjnych potraw kuchni estońskiej jak kaszy jęczmiennej czyli urvapuder, czy tłoczonych ziemniaków nadziewanych jęczmieniem i sosem grzybowym czyli mulgipuder.

Dla turystów niezmiernie ważne są też umieszczone na murach obronnych punkty widokowe, z których rozciąga się szeroka panorama Tallina.

Niezwykle ważne znaczenie dla naszego pobytu miała wizyta na Uniwersytecie Tallińskim. Kształci się tam 7000 studentów. Studiują oni na takich kierunkach jak produkcja filmowa i operatorstwo czy reżyseria filmowa, ale można tam studiować także język polski, nauki społeczne, historię, ekologię czy europeistykę. Uczelnia współpracuje z Uniwersytetem w Tampere w Finlandii. Podczas spotkania z kierownictwem uczelni rektor WSUS prof. Michał Iwaszkiewicz przypomniał, że jego idea narodziła się podczas wizyty w Poznaniu dyrektora generalnego w estońskim MSZ Jonasa Kirkme. – *Wszystkie uczelnie nawiązują kontakty z Uniwersytetem*



Rektorzy – profesor Michał Iwaszkiewicz z Wyższej Szkoły Umiejętności Społecznych i Rein Raud z Uniwersytetu Tallińskiego

w Tartu, a dlaczego by nie nawiązać kontaktów z Uniwersytetem Tallińskim. Jeśli się okaże, że uda się zapoczątkować kontakty edukacyjne i naukowe to cel tej misji zostanie spełniony – mówił prof. Michał Iwaszkiewicz dodając, że centrum będzie propagowało także polsko-estońską wymianę kulturalną. W tym roku w Poznaniu odbyły się Dni Estonii. Cieszyły się ogromnym powodzeniem. Prezentowano filmy, poezję jak i muzykę. Prof. Iwaszkiewicz dodał, że Poznań jest jednym z większych centrów edukacyjnych w Polsce. W woj. wielkopolskim działają 44 szkoły wyższe, z czego 23 spośród nich w Poznaniu. Proroktor UAM prof. Janusz Wiśniewski stwierdził, że Polska i Estonia znalazły się w jednej, europejskiej przestrzeni i muszą sporo nadrobić w stosunku do innych krajów. Najważniejszy jest powrót do idei universitas, tak aby każdy student mógł studiować w całej Unii na dowolnej uczelni. Rektor Iwaszkiewicz zaproponował nawiązanie współpracy na trzech poziomach – naukowym, relacji studenckich i zbliżenia kulturalnego, oraz poznawania obyczajów. Na konkrety jeszcze za wcześnie, ale Rektor ma nadzieję, że nastąpi to jeszcze w tym roku.

Podczas pobytu w Estonii gościliśmy nie tylko na Uniwersytecie Tallińskim, ale także w nowej siedzibie Ambasady Polskiej. Byliśmy pierwszą grupą jaka tam została przyjęta, a która nie przyjechała w celach turystycznych.

Jak powiedział konsul Piotr Starzyński Estonię odwiedza coraz więcej Polaków, szczególnie w okresie wakacyjnym, ale przyjeżdżają także do pracy. Należy się cieszyć, że oba kraje mogą współpracować praktycznie w każdej dziedzinie. Polska dla Estonii, podobnie jak Finlandia jest naturalnym przyjacielem. Pomiedzy obu krajami nie ma konfliktu interesu. Polska może stać się tym drugim partnerem po Finlandii. Jeżeli przejdziemy się przez estońskie sklepy zauważymy w nich ogromną ilość towarów z Polski jak meble, artykuły spożywcze, nabiał czy owoce. Natomiast jeśli chodzi o technologię Estonia może być naszym naturalnym nauczycielem. W pewnych dziedzinach dzięki kontaktom z Finlandią jest wyżej zaawansowana niż Polska.

O Estończykach mówi się, że są bardzo dobrymi uczniami i wykorzystują to co najlepsze. Ale oni po prostu uczą się na błędach innych. Przykładem może być centrum monitoringu przygotowane przez policję estońską po obejrzeniu centrum monitoringu polskiego w Warszawie. Gdy polscy policjanci przyjechali do Estonii byli zdziwieni, że Estończycy ich przeskoczyli.

A wyspy wciąż powstają

Choć Tallin kusi zabytkami mówi się, że nie posmakował Estonii ten kto nie wyjechał gdzieś dalej, na przykład do Parku Narodowego Lahemaa czyli Krainy Zatok.

Z jednej strony to teren bagnisty z wieloma torfowiskami, bo 20 procent Estonii to właśnie bagna i torfowiska, ale z drugiej strony to ponad półtora tysiąca wysp i wysepek. Tak naprawdę nikt nie wie ile ich jest, bo ląd cały czas się podnosi o 2 mm rocznie. Jedne wyspy powstają, inne stają się półwyspami. W parku znajduje się malownicza Wioska Kapitanów, a w niej kopiec gdzie kapitanowie dorzucają kamienie po szczęśliwym rejsie. Warto zatrzymać się w wiosce Kiu gdzie w baszcie zwanej „Mnisią wieżą” można degustować produkowany tam ajerkoniak. Wreszcie w Zamku Palmse delectować się winami z czarnej i białej porzeczki, oraz z żurawiny.

Nasza wyprawa odwiedziła też Litwę i Łotwę, ale to już temat na osobną opowieść.

Marek ZARADNIAK

Aula Nova

czyli nowa era

Zapowiedziana na 9 października tegoroczna inauguracja roku akademickiego będzie dla Akademii Muzycznej im. Ignacego Jana Paderewskiego w Poznaniu szczególna. Będzie bowiem pierwszą w nowej, zbudowanej ze środków Unii Europejskiej i Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego sali koncertowej nazwanej Aula Nova. Wykład inauguracyjny wygłosi, a wieczorem koncert symfoniczny poprowadzi pierwszy doctor honoris causa uczelni maestro Jan Krenz, obchodzący w tym roku 80. urodziny.

Zaczęło się w Walentynki

Aula Nova liczy 537 miejsc. Jest nie tylko salą koncertową, ale może także być studiem nagrań. Jest klimatyzowana. Zbudowano ją w 18 miesięcy. Wmurowanie kamienia węgielnego odbyło się bowiem 14 lutego, a więc w Walentynki ubiegłego roku. Wmurowywał go minister Waldemar Dąbrowski. Teraz w inauguracji weźmie udział jego następca Kazimierz Michał Ujazdowski. Aula Nova zostanie też poświęcona

Akademia Muzyczna jest dumna nie tylko z nowej sali koncertowej, ale i z laureatów jakie na konkursach zdobywają jej studenci. Ostatnio duet perkusyjny Katarzyna Szymancka i Piotr Sołkiewicz zdobył III miejsce na X Międzynarodowym Festi-

walu Wykonawstwa Muzyki Współczesnej w Krakowie. Katarzyna i Piotr reprezentują dwie uczelniane klasy perkusji profesorów Mariana Rapczewskiego i Edwarda Iwickiego.

Koncerty i wystawa

Dodajmy, że na dzień przed inauguracją otwarta zostanie przygotowana razem z Konsulatem Generalnym Federacji Rosyjskiej wystawa poświęcona Dymitrowi Szostakowiczowi w setną rocznicę jego urodzin.

Warto odnotować też, że w każdą środę lipca i sierpnia uczelnia organizowała „Letnie koncerty w Sali Białej Urzędu Miejskiego”. Dawniej ten cykl odbywał się w Sali Renesansowej Ratusza Poznańskiego. Miejsce zmieniono, albowiem w sali Ratusza mieściło się nie więcej niż 80 osób. Przeszkadzała też kakofonia dźwięków dochodząca z licznych na Starym Rynku ogródków. Przeniesienie koncertów do Sali Białej dało większy komfort i dla wykonawców i dla słuchaczy. A w cyklu tym słuchaliśmy m.in. kandydatów na tegoroczny XIII Międzynarodowy Konkurs Skrzypcowy im. Henryka Wieniawskiego. Zresztą w uczelnianych salach uczestnicy Konkursu będą ćwiczyć przez cały czas jego trwania. 30 października odbędzie się natomiast koncert „Antonina Kawecka in Memoriam”. Wystąpią w nim jej absolwenci, dziś soliści teatrów na całym świecie.

MAZ
Fot. S. Siewior





Powołanie Ligi Dobrych Obyczajów

Wyższa Szkoła Umiejętności Społecznych gościła dyrektorów i wicedyrektorów z poznańskich szkół, którzy zakończyli cykl zajęć zatytułowanych „Rola dobrego obyczaju w kształtowaniu postaw środowiska nauczycielskiego”. Wspólna inicjatywa WSUS i Urzędu Miasta Poznania zaowocowała spotkaniami z blisko 300 nauczycielami reprezentującymi wszystkie praktycznie modele i poziomy nauczania – od przedszkoli po gimnazja.

Nakazem chwili jest kształtowanie postaw dzieci i młodzieży w duchu tolerancji, poszanowania cudzych poglądów i zapatrywań, a także przypominanie o wartościach patriotycznych i obywatelskich. Co do tego zgodni byli i organizatorzy i uczestnicy spotkań. Słowa te padły w wypowiedzi Rektora WSUS, prof. dr. hab. Michała Iwaszkiewicza, dla którego spotkanie z nauczycielami i możliwość prowadzenia dla nich zajęć stanowiła jeden z elementów potwierdzających słuszność i celowość obranej przed laty drogi. Kwestii kształtowania dobrych obyczajów w życiu codziennym i „zarażaniu” nimi młodego pokolenia poświęcił on bowiem w znacznej części swoją karierę dydaktyczną i działalność społeczną.

Logiczną konsekwencją takiej właśnie postawy była zresztą idea założenia

i powołania do życia WSUS, która wśród swoich zadań stawia sobie za cel odbudowę kompetencji kulturowych społeczeństwa. Zdaniem prof. Iwaszkiewicza młodzi ludzie są obecnie osamotnieni w poszukiwaniu swojej drogi życiowej – stosownego wsparcia nie może udzielić im ani rodzinny dom, ani szkoła, do której uczęszczają. W grupach rówieśniczych często praktykowana jest przemoc – nie tylko w fizycznym wymiarze. Jest to przemoc moralna i presja grupowa na prezentowanie postaw abnegacji wobec form społecznych, gloryfikowanie obojętności i sukcesu za wszelką cenę. Charakterystyczną cechą tego modelu wychowania poprzez wpływ grupy rówieśniczej jest negacja patriotyzmu w większości jego przejawów. Niebezpieczne jest ograniczanie dumy narodowej do dziedziny osiągnięć sportowych – uważa prof. Iwaszkiewicz. Szacunek dla godła, flagi i hymnu narodowego jest dla młodego pokolenia pojęciem pustym, obcym, obojętnym. Globalizacja społeczeństwa nie może i nie powinna ograniczać świadomości przynależności narodowej. Europa – także ta wspólna, do której Polska należy – to zbiorowość składająca się z małych ojczyzn, które w piękny sposób różnią się między sobą.

Rektor WSUS w trakcie swojego wystąpienia podkreślał, jak wiele zależy od nauczycieli, wychowawców, przewodników młodzieży. Uczniowie obserwujący i naśladowujący postawy starszych, którzy mogą stać się dla nich autorytetem, mają szansę rozwinięcia z czasem i wzbogacenia swojej osobowości. Nawiązując do tego właśnie wątku swojego wystąpienia, Rektor zaproponował, aby tak obiecująca współpraca pomiędzy nauczycielami a WSUS była kontynuowana w innej już, rozwiniętej postaci. Nowa jakość współdziałania może przybrać postać ruchu społecznego. Liga Dobrych Obyczajów – taką nazwę ma nosić forma integracji wspólnych działań – byłaby organizacją, która podejmie działania na rzecz wychowania i edukacji młodego pokolenia w duchu poszanowania fundamentalnych wartości stanowiących o postawie obywatelskiej i osobistej kulturze. Deklaracje członkostwa i udział w pracach Ligi miałyby charakter dobrowolnej pracy o charakterze społecznym. Byłaby to zarazem kontynuacja misji, jaką niesie ze sobą nauczycielstwo i wychowywanie młodego pokolenia.

Ważną chwilą, której w trakcie tak uroczystego spotkania nie mogło zabraknąć, było wręczenie pamiątkowych certyfikatów uczestnictwa w kursie. Wraz z prof. Michałem Iwaszkiewiczem wręczał je nauczycielom także Maciej Frankiewicz, wiceprezydent Poznania, koordynujący między innymi poczynania miasta w dziedzinie oświaty. Spotkanie zakończyło spotkanie przy lampce wina, w trakcie którego powracano niejednokrotnie do propozycji złożonej przez JM Rektora. Została ona przyjęta z zainteresowaniem, co znalazło odbicie w licznie składanych deklaracjach przystąpienia do Ligi, która mimo dobrowolności udziału w niej, ma realne szanse aby stać się znaczącym ruchem społecznym. O poparciu dla tej idei zapewniali także Rektora wielbiciele jego pióra ustawieni w długiej kolejce po autograf na najnowszej publikacji – „Poradniku dobrych obyczajów Profesora Michała Iwaszkiewicza”. Tak jak w trakcie spotkań z uczestnikami kursu Rektor obiecał, jego książka ukazała się wraz z zakończeniem spotkań a podsumowanie zajęć i wręczenie dyplomów zbiegło się z jej promocją.

T.D.

(z archiwum WSUS)

Dziennikarski warsztat i savoir vivre

Dwudniowym szkoleniem w siedzibie Wyższej Szkoły Umiejętności Społecznych rozpoczęli kolejny rok nauki słuchacze Instytutu Dziennikarstwa Polska Presse. Dzień pierwszy okazał się szczególnie intensywny. Po krótkim spotkaniu z Rektorem WSUS, prof. dr hab. Michałem Iwaszkiewiczem, który jest także członkiem Rady Programowej Instytutu, rozpoczęło się pracowite popołudnie. JM Rektor przybliżył zgromadzonym podstawy dziennikarskiego savoir-vivre'u. Wykłady i ćwiczenia dotyczyły tego dnia także zagadnień prawa autorskiego w twórczości dziennikarskiej, struktur podmiotowych tworzących media, anatomii tekstu prasowego i praktycznych ćwiczeń pisarskich. Dzień drugi to kilkogodzinne zajęcia poświęcone organizacji pracy w redakcji prasowej. Oprócz JM Rektora zajęcia prowadzili między innymi: prof. dr hab. Jacek Sobczak, dr Marek Chyliński, red. red. Wiesław Kot i Andrzej Niczyperowicz.

Spotkanie w WSUS zainauguowało rok zajęć, które potrwać do czerwca, a w lipcu odbędzie się tradycyjna już letnia szkoła dziennikarska w Krzyżowej.



Odznaczenia dla Rektora WSUS

Dla prof. dra hab. Michała Iwaszkiewicza, Rektora Wyższej Szkoły Umiejętności Społecznych rok 2006 to nie tylko czas satysfakcji związany z rozwojem Uczelni i okres przygotowania do jubileuszu Szkoły. To także chwile wzruszające i ważne wypływające z wyróżnienia jednym z najwyższych odznaczeń państwowych i rzadko przyznawanym osobom cywilnym medalem resortowym.



Order Odrodzenia Polski, Polonia Restituta to jedno z najwyższych polskich odznaczeń cywilnych, nadawane za wybitne osiągnięcia na polu oświaty, nauki, kultury, sztuki, gospodarki, obronności kraju, działalności społecznej, służby państwowej, oraz rozwijania dobrych stosunków z innymi krajami. Ustanowione zostało ustawą z dnia 4 lutego 1921. Na czele dziewięcioosobowej kapituły stoi Wielki Mistrz, którym jest każdorazowo – z racji sprawowania urzędu – prezydent Rzeczypospolitej. On też powołuje pozostałych członków kapituły. Order ma pięć klas, nazywanych krzyżami. Od najniższej do najwyższej są to krzyże: kawalerski, oficerski, komandorski, komandorski z gwiazdą i wielki. Profesor Michał Iwaszkiewicz posiadał już krzyż kawalerski OOP, toteż prof. Edmund Pawlak, występujący w imieniu Prezydenta RP, po odczytaniu

stosownego dyplomu, przypiął do Jego piersi krzyż oficerski Polonia Restituta. W uroczystości, której towarzyszyła podniosła atmosfera, uczestniczyli przyjaciele i bliscy współpracownicy JM Rektora, którzy zgromadzili się z tej racji w Sali Posiedzeń Senatu WSUS.

Medal za Zasługi dla Policji ma znacznie młodszą metrykę, został bowiem ustanowiony ustawą z dnia 7 czerwca 2001

roku jako odznaczenie za wybitne zasługi w dziedzinie realizacji ustawowych zadań tej służby państwowej. Medal posiada trzy stopnie: złoty, srebrny i brązowy. Zgodnie z ustawą może być nadany w uznaniu zasług inicjujących bądź za organizowanie działań mających na celu zapobieganie popełnianiu przestępstw lub wykroczeń oraz zjawiskom kryminogennym, a także za współdziałal w tym

zakresie z organami państwowymi, samorządu terytorialnego lub organizacjami społecznymi. Medal przyznaje się również osobom, które poprzez swoje postępowanie, nienaganną pracę lub służbę podnoszą sprawność policji. Medal nadawany jest przez ministra właściwego do spraw wewnętrznych z własnej inicjatywy, albo na wniosek Komendanta Głównego Policji.

Prof. dr hab. Michałowi Iwaszkiewiczowi Brązowy Medal za Zasługi dla Policji przyznano w związku z działalnością szkoleniową i dydaktyczną realizowaną przez Wyższą Szkołę Umiejętności Społecznych, oraz osobiście przez niego na rzecz Policji Wielkopolskiej. Warto dodać, że w roku akademickim 2005/2006 studiowało na WSUS ok. 300 funkcjonariuszy policji co stanowi ewenement wśród ośrodków akademickich w kraju.

T. D.

Chiński artysta z polskim dyplomem

Wszystko zaczęło się od wizyty JM Rektora WSUS – prof. dra hab. Michała Iwaszkiewicza w Chinach, jego fascynacji krajem i kulturą. W uczelni podjęli studia młodzi ludzie z Chin, WSUS włączył się aktywnie w działalność lokalnych organizacji promujących Chiny i ich kulturę, a stąd już tylko krok do dalszych pomysłów, jeszcze śmielszych, jeszcze bardziej ambitnych.



Poznań to duży ośrodek akademicki – jeden z większych w Polsce i zarazem miejsce, które chętnie obierają jako bazę swojej edukacji młodzi ludzie z zagranicy. Czego szukają nad Wartą? Z pewnością wiedzy na wysokim, akademickim poziomie, którą zapewniają im poznańskie uczelnie – zarówno państwowe, jak i niepaństwowe. Ma też stolica Wielkopolski swoją niepowtarzalną, jedyną atmosferę, która zagranicznym studentom odpowiada. To tutaj przecież przez lata odbywał się festiwal piosenki studenckiej dla zagranicznej braci akademickiej. Podobnych imprez i przedsięwzięć można by zresztą wymienić więcej.

Od lat znaczące miejsce wśród zagranicznych studentów związanych z Poznaniem zajmują przybysze z Chin. Coraz więcej Chińczyków, którzy decydują się na studia w naszym kraju, to przedstawiciele nauk społecznych: dziennikarze, filolodzy, specjaliści od spraw promocji i public relations. Jak dotąd, niewielu chętnych z Państwa Środka wykazywało zainteresowanie zdobywaniem i poszerzaniem wiedzy na poziomie akademickim w zakresie kultury i sztuki. Nic dziwnego, bowiem cywilizacja chińska, szcząc się długą i bogatą metryką, wydawać by się mogła trwale ukształtowanym, odpornym na wpływy zewnętrzne monolitem. Tak być jednak nie powinno i tak być wcale nie musi.

Dwoje absolwentów filologii polskiej pekińskiego uniwersytetu, którzy doskonalili swoje umiejętności i wzbogacali wiedzę w murach WSUS okazało się ludźmi nie tylko sympatycznymi, ale komunikatywnymi, ciekawymi też naszej kultury i obyczajowości. Dobra opinia, jaką mieli nasi studenci o WSUS, spowodowała nawiązanie bliższych kontaktów z ambasadą Chin w Warszawie i w dalszej konsekwencji, wizytą w budynku przy ulicy Głogowskiej jej wystannika, prof. Li Jintao, wraz z małżonką.

Gościom przedstawiono WSUS (JM Rektor, prof. dr hab.



Michał Iwaszkiewicz czynił honory gospodarza) a ważna rola, jaka przypadła do odegrania studentom WSUS pochodzącym z Chin, była chyba sprawą oczywistą i naturalną.

W powiązaniu z koncepcją powołania w Uczelni Wydziału Artystycznego, która wkrótce przybrała konkretny kształt, narodził się zamysł zainteresowania młodych ludzi z Chin koncepcją podejmowania tu właśnie, studiów artystycznych. Sprzyjać temu zdają się specjalności, które w ramach poszczególnych kierunków wydają się potencjalnie interesujące dla młodzieży z największego państwa świata. I choć sztuka stwarza możliwość porozumiewania się i percepcji pomimo barier obyczajowych i językowych, to jednak znajomość polskiej mowy wydaje się być w takim wypadku rzeczą cenną i ważną. Toteż o organizowaniu w ramach WSUS kursów języka polskiego rozmawiano już w trakcie pierwszego spotkania profesorów Michała Iwaszkiewicza i Li Jintao. Kolejnym etapem na drodze do pojawienia się studentów z Chin w murach WSUS wydaje się nieodległa wyprawa JM Rektora do Szanghaju. Zapewne dzięki temu i podobnym posunięciom, wizja chińskiego artysty z polskim dyplomem spełni się w rzeczywistości.

Tomasz DYMACZEWSKI

Wiedźmy znad rozlewiska

Wśród książek, które mam przyjemność czytać i polecać P.T. publiczności zdarzają się i takie, które doprowadzają mnie do irytacji, będąc zarazem trafieniem w sedno.

Taka właśnie książka napisała się Małgorzacie Kalicińskiej i nieważne jak głęboko autorka zachodzi za skórę rodzajowi ludzkiemu, a męskiej płci w szczególności, i w jednym i w drugim jest bliska prawdy obiektywnej. Aby najprościej jak można ująć, co autorka potrafi, powiedzmy tak: przyrodę opisuje pięknie, lenistwo ponętnie, seks z rzeczowym artyzmem, miasto, jego wytwory, kulturę masową i bylejałość potrafi zmiażdżyć. Bohaterka opowieści odnajduje się na zabitej deskami mazurskiej prowincji, czyli tam, gdzie diabeł mówi „dobranoc” a gorzałka „dzień dobry”. Wyczarowane nowe życie z dala od wielkiego miasta, pomimo ciężkich zmagień, okazuje się sukcesem, i to wcale nie skromnym. W nowych warunkach nabyte wcześniej umiejętności pozwalają zmienić to co dotąd było dobre w nową, jeszcze lepszą jakość. Kobiety znad tytułowego rozlewiska są normalne i zwykłe, chociaż... nie do końca. Jak z satysfakcją podkreśla narratora, niezależnie od generacji mają w sobie coś z wiedźm, czarownic. Są to jednak wiedźmy intelektualne, a ich życie w zgodzie z naturą jest o tyle bogatsze niż żywot innych, otaczających je osób, że zdają sobie sprawę z tego, co je otacza.

„*Dom nad rozlewiskiem*” Wydawca reklamuje jako polski „Rok w Prowansji”. Z natury rzeczy porównywanie dwóch pozycji, które powstały w różnych tradycjach cywilizacyjnych i kulturowych jest zabiegiem z grupy określonego ryzyka. Oni i my to różne problemy, odmienna historia i zgoła inne tradycje. Potraktujmy więc

„*Dom nad rozlewiskiem*” jako opowieść oryginalną, ciepłą i zupełnie na miejscu w polskiej literaturze początków XXI stulecia.

Małgorzacie Kalicińskiej udało się książka nietuzinkowa. Jeśli pióro współczesnego prozaika błąka się na manowce ziemi popegeerowskiej, to zazwyczaj pochyla się z troską nad ludnością wykołejoną i nieprzystosowaną społecznie, która miota się pomiędzy kredytem, wódką i kolejną ciążą. Ostatecznie jednak ubóstwo duchowe przeważa i takie Mazury, nie znalazły jak dotąd swego Judyty. I jeśli go w końcu doczekają, to nieprędko.

Wycieczka w kierunku jednego z bohaterów Żeromskiego nie jest sprawą przypadku.

„*Dom nad rozlewiskiem*” to historia z pozytywnym zakręceniem w tle. Właściwie to nawet historia całą gębą pozytywistyczna. Motorem opowieści jest wszak energia, która zmienia naturalnie zapyziałą zakątek polskiej wsi w zakątek – ku satysfakcji letników – stylizowany na zapyzienie. I tu pożegnany Żeromskiego (panu już dziękujemy) i śmiało już dopuścimy do głosu Rodziewiczównę, która dotąd trzymała się dyskretnie w pewnym oddaleniu. Przywołując Panią Marię z pewnego oddalenia, z jakiego kształtowała dyskretnie gusty kilku generacji wyrosłych w ciężkich latach PRL powiedzmy, że bardzo nam się podoba spełnienie marzeń i oczekiwań naszych bohaterek. Jest bowiem w książce Kalicińskiej mocne, optymistyczne przesłanie właśnie w stylu Rodziewiczówny o triumfie woli i zaangażowania w harmonii z siłami przyrody. Piszę to jak najbardziej serio, bowiem takie pozytywne motywy twórczość Rodziewiczówny przynosi niemal na każdym kroku. Zresztą poza twórczością literacką historia autorki wielu poczynnych powieści to lata zmagania w nietypowej,



nawet dla kobiety współczesnej, roli głowy rodu gospodarzącej we własnym majątku. Pewien wyraźny rodziewiczowski, pozytywny trop można więc odnaleźć w „*Domu nad rozlewiskiem*” co dowodzi tym wyraźniej, że jest to autorska, polska, rodzima koncepcja, która wyrasta korzeniami z rodzimej, nie obcej tradycji pisarskiej. I powiem z całą mocą: dobrze się stało, iż Małgorzata Kalicińska nie trzeba porównywać z zagranicznym wzorcem. Zbyt mało posiadamy w naszej niełatwej współczesności twórców, którzy unikają prowadzenia rozliczeń z przeszłością w wymiarze narodowym czy społecznym. Rzeczywistość polska z początków XXI wieku ma swoje prawa, między innymi i takie, aby ją zobrazować i przekazać potomnym. Takiej funkcji nie może spełnić satyra społeczno – polityczna ukazująca celnie, lecz odbitą w krzywym zwierciadle polską rzeczywistość. Szczęśliwie „*Dom nad rozlewiskiem*” jest pozycją na tyle udaną, że zachowa zapewne swoją wartość mimo upływu czasu, który pokrywa wszystko płaszczem patyny. Mam nadzieję, że wiedźmom znad rozlewiska nie zaszkodzi, bo więdźmy i czarownice – jak wiadomo – posiadają władzę nad czasem i za nic mają sobie jego przemijanie. Oby tak się stało i w przypadku tej książki, momentami satyrycznie złośliwej, ale uczciwie i z talentem ukazującej głębinę i meandry polskiej rzeczywistości widzianej i ze stolicy i z zapadłego mazurskiego kąta.

Tomasz DYMACZEWSKI

Małgorzata Kalicińska, *Dom nad rozlewiskiem*, ZYSK i SKA Wydawnictwo, Poznań 2006.

Medal dla studenta WSUS

Taka uroczystość w Wyższej Szkole Umiejętności Społecznych odbyła się po raz pierwszy. Więcej nawet, takiego wydarzenia nie odnotowały wcześniej kroniki żadnego ośrodka akademickiego. I nic w tym dziwnego; Gloria Artis (Medal Zasłużony Kulturze) przypada bowiem w udziale tylko najlepszym. W tej chwili nosi go na piersi tylko dwóch poznanków: Stefan Stulgrosz i student WSUS – Jakub Ryfa. W sobotę, 25 marca, JM Rektor dokonał aktu dekoracji. Prof. Michał Iwaszkiewicz uczynił to ze wzruszeniem, Gloria Artis jest bowiem najwyższym odznaczeniem, jakie otrzymać może człowiek kultury. Jakub Ryfa jest z pewnością jednym z najmłodszych kawalerów tego orderu, a już z pewnością – jedynym czynnym studentem wyższej uczelni, który może się takim wyróżnieniem szczycić.

Mimo młodego wieku, Jakub Ryfa jest postacią doskonale rozpoznawalną w środowisku ludzi kultury. Określenia, jakie najczęściej się wobec niego stosuje: menedżer i animator kultury tylko w części odpowiadają bogactwu jego zainteresowań i obszarom aktywności. Jakub Ryfa uczynił wiele dla przekonania ludzi młodych do działalności kulturalnej, nawet jeśli w ślad za tym nie idą korzyści materialne. Zachęca i tworzy odpowiedni klimat dla poczynań integracyjnych, kiedy to ramię w ramię działają twórcy sprawni i niepełnosprawni. Potrafi przełamywać bariery i tabu; jest przekonujący i skuteczny.

Pragnie, aby kultura studencka w prawdziwie pozytywnym, aktywnym i twórczym wydaniu opuściła karty podręczników historii i powróciła do życia, gdzie tak bardzo jej brak. Spełnienia tych marzeń i pragnień z całego serca życzymy.

T. DYMACZEWSKI



Szkoła dobrych manier profesora Michała Iwaszkiewicza

Polacy i podróże

Bądź po prostu uprzejmy

Podróżujemy. Tymczasem niedawno ceniony w świecie miesięcznik „Reader's Digest” przeprowadził badania, z których wynika, że najbardziej uprzejmi na świecie są mieszkańcy Nowego Jorku. Najgorzej natomiast zachowują się mieszkańcy Bombaju. A przecież wydawać by się mogło, że Nowojorczyści będą zachowywać się gorzej, dlatego, że to miasto multikulturowe.

– To pytanie jest dowodem głębokiego utrwalenia stereotypów. Biorą się one na podstawie przekazu pośredniego i nie opierają się o badania, ale o odczucia. Wielu ludzi przebywając na przykład w Nowym Jorku spotyka się z sytuacjami ekstremalnymi. Natomiast badania są potwierdzane przez osoby, które przez dłuższy czas mieszkały w USA i przebywały w Nowym Jorku. Niedawno w jednej z audycji radiowych nawiązano też do tego, że Nowojorczyk jest człowiekiem uprzejmym i otwartym, ale niezbyt skłonny do zawierania przyjaźni na lata. Natomiast w tej zdawkowej codziennej rzeczywistości okazuje się osobą usposobioną przyjaźnie.

Czy te stereotypy dotyczą także krajów egzotycznych?

– Tak. Będąc kilkakrotnie w Chinach mogę powiedzieć, że stereotyp mówi o tym, iż Chińczyk ciągle się kłania. To naprawdę stereotyp. Dlatego, że w miejscach gdzie bywa się oficjalnie, w restauracji czy w hotelu formuła grzeczności jest zachowana. Natomiast proszę sobie wyobrazić, że przy tej ogromnej masie ludzi przelewającej się przez ulice Pekinu czy Szanghaju nie ma miejsca na taką uprzejmość. Owszem ona jest, ale nie jest już cechą powszechną.

Podobnie jest chyba z Francuzami?

– Zgadza się. Mówi się, że obcowanie z Francuzami to takie lekkie łatwe i przyjemne. Wcale tak nie jest. Podczas wielu moich pobytów w Paryżu miałem okazję doznawać tego. Polski stereotyp Paryżanina musiał ulec zmianie.

Dodajmy na marginesie, że rodowitych Paryżan aż tak dużo nie ma. Jest ogromna ilość tych, którzy mieszkają tam krócej lub dłużej i uważają się za obywateli tego miasta.

Zatem jak można było by te opinie skomentować?

– Każdy stereotyp jest pewnym umownym uproszczeniem, informacją na temat zachowania danej nacji. Rzeczywistość jest różna od tego stereotypu,

ale rzeczywistość jest taka, że jeśli my potrafimy być uprzejmi to wymuszamy na innych też takie zachowanie. Zatem bądźmy uprzejmi bez względu na to czy mamy do czynienia z Nowojorczykami czy z mieszkańcami Bombaju.

Pomoże nawet uśmiech

A skoro mówimy o podróżach Jak należy zachowywać się w środkach komunikacji masowej?

– Najwięcej rodaków przemieszcza się z jednego krańca kraju na drugi najczęściej latem, choć nie jest to najlepszy okres na podróżowanie. Spędzają wiele godzin w pociągu lub autobusie. Dodajmy do tego komunikację miejską. Gdy trzeba przejechać w godzinach szczytu z jednego krańca miasta na drugi i znieść to najmniej dotkliwie.

Sytuacje trudne wymagają szczególnie przestrzegania dobrych obyczajów. Wszak jesteśmy spoceni, zmęczeni, jest nam gorąco, chce nam się pić. W tym momencie bardzo łatwo wpadamy w złość. Wpadamy



agresji. Rośnie adrenalina. Padają słowa. To jeszcze bardziej pogłębia stres.

Łbym w związku z tym zaapelować o to, że w takich sytuacjach opanować zimną krew, a dalej to co nazywamy obyczajem jest jedynym lekarstwem, aby znieść te wszystkie dolegliwości spokojnie. A zatem pamiętajmy, naszych bliznich zarówno w zatłoczonym pociągu jak i w zatłoczonym autobusie tramwaju. Tam gest przesunięcia miejsca, a nawet czasami rozkładujemy stress drugiej osoby. Środkach komunikacji publicznej to czynienia też z wieloma niezbyt miłymi odczuciami.

Więcej się to z tym że nie wszyscy dbają o swoją osobistą jak należy, ale mimo to, czasami drażni też nie powinniśmy tego sobie jedynie demonstrować. Pamiętajmy, różne przyczyny i różne okoliczności, w których dane osoby znajdują się w danym stanie w jakim się znajdują nie należy. Pomijam oczywiście spożycie alkoholu, bo to rzecz absolutnie naganna. Apeluję, nawołuję i zachęcam, aby w trudnych warunkach, w tych bardzo niedogodnych sytuacjach zachowywać maksymalny spokój i maksymalną wyrozumiałość. Bo tylko tą drogą możemy osiągnąć sobie maksymalny komfortowy wyjazd, ale jednocześnie również nie drażnić go na innych. Natomiast popadamy w agresję, emocje, jest czymś absolutnie wskazany.

Współpraca, wzajemność, zrozumienie

Współpraca się po kraju w ciągu jednego dnia to jedno, ale często wyjeżdżamy z kraju na wycieczkę zagraniczną. To jest kilka, kilkanaście dni. O czym pamiętać podczas długich, wspólne podróży autokarem?

Współpraca nie jest przypadkowe, bo nie udało się spędzić w autokarze sporo czasu podróżując po Litwie, Łotwie i Estonii. Wymierzaliśmy ponad 3000 kilometrów kanwie tej podróży nasuwa się myśl o flegmii. Po pierwsze dla dobrej organizacji takiego wyjazdu konieczny jest dobór osób. Istnieje możliwość wybrania zespołu ludzi o zbliżonych charakterach, temperamentach, zainteresowa-

niach i poziomie mamy już pół sukcesu za sobą, bowiem cechą takiego wyjazdu musi być tak zwana właściwa energia grupy. Grupa chce być razem, chce pewne przedsięwzięcia realizować i akceptuje pomysły które się pojawiają.

Przy wyjazdach organizowanych przez biura podróży to jest chyba niemożliwe?

– To prawda. Wtedy trzeba kierować się pewnymi zasadami uniwersalnymi. Po pierwsze zasadą tolerancji. Różniemy się. Powinniśmy się różnić pięknie. Ale nie zawsze tak jest. W tym momencie nasza klasa, nasz dobry obyczaj sprowadza się głównie do tego, abyśmy akceptowali różnorodność nawet jeśli ona do końca nam nie odpowiada. Chodzi o różnorodność w stroju i zachowaniu. Czasami są to zachowania urągające wszelkim zasadom. Wtedy trudno być tolerancyjnym, ale czasami w imię wyższych racji czasami lepiej nie wywoływać konfliktu tylko metodą łagodnej perswazji zmienić ten stan rzeczy. Obok tolerancji bardzo ważna jest zasada wzajemności. Jeżeli chcemy, aby nam było dobrze musimy mieć świadomość, że tamte osoby też oczekują tego samego. Wzajemna pomoc, wzajemna akceptacja, wzajemne zrozumienie. Nie czyni drugiemu co tobie nie miłe. To jest element wzajemności. Wreszcie trzeci element bardzo istotny. Najgorsza gdy wyjeżdżamy w grupie przypadkowej jest obecność kogoś kto uważa się za mądrzejszego, lepiej znającego sprawę, lepszego od przewodnika. Nie daj Boże takiego współuczestnika wyjazdu bo może zepsuć całą imprezę. I tu stosowanie zasady tolerancji i zasady wzajemności jest dość trudne. Tu jest pole do popisu dla kierownika wycieczki lub pilota by taką osobę uciszyć. Jeśli to się nie udaje to niestety mamy wyjazd zepsuty.

A jeśli pojawia się tak zwany stres podróży?

– Przy dłuższych pobytach i to takich gdzie codziennie jesteśmy w innym mieście, w innym hotelu, codziennie zrywamy się i pakujemy to niestety jest nieuniknione gdy mamy grupę zróżnicowaną wiekowo. Bo dla młodych ludzi, to nie jest żaden stres, ale dla starszych taki tryb życia wprowadza dysonans do ich normalności i wtedy trzeba stresom zapobiegać choćby w ten sposób, że spędzamy dwie, trzy noce w jednym hotelu, bo wtedy następuje uspokojenie stresu związanego z podróżą.

Rozmawiał: Marek ZARADNIAK

Kopciuszek w fabryce szpulek



Zanim Rachel Pine napisała swoją pierwszą książkę, wykorzystując wygodną pozycję szefowej marketingu dość znanej amerykańskiej firmy wydawniczej, przeszła w swojej branży krótki acz intensywny kurs przetrwania. Chęć spełnienia zawodowego i – co tu dużo ukrywać – cicha rywalizacja z koleżankami z lat szczenięcych popchnęły ją ku krainie marzeń, jaką dla bajkowych kopciusz-

ków wydaje się nowojorska siedziba Miramax. Wytwórnia filmowa może nie największa, lecz za to kształtująca trendy w amerykańskim przemyśle filmowym, a w ślad za tym i w świecie, znana w dodatku ze zdobywania najlepszych kawałków hollywoodzkiego tortu, wydawała się idealnym miejscem na odskocznię do biznesowej kariery dla młodej, ambitnej osoby, która nie miała niestety szczęścia urodzić się nowojorką.

W książce Rachel Pine zmienione są nazwiska znanych osób (wszelkie podobieństwo jest kwestią przypadku pomimo którego rozszyfrowanie Sly Stalone czy Terminatora z Kalifornii nie nastręcza żadnych trudności), firm czy instytucji. Sobą pozostaje Nowy Jork, intelektualna mekka Ameryki, opiewana przez Woody Allena i jemu podobnych. Nie dla wszystkich jednak Nowy Jork jest rajem na ziemi. I tu widać, że autorka, która jest rozgarniętą dziewczyną z prowincji, ze szczególną złośliwością portretuje swoją koleżankę z jednego boksu, rozpieszczoną córkę bogatych rodziców z nowojorskiego towarzystwa. Dwie Ameryki widać tu jak na dłoni. Jest w tym coś, że tytułowi bliźniacy z TriBeki, właściciele Glorious Pictures czyli Miramaxu wyszli z łona tej samej matki a jednak różnili się pomiędzy sobą wyglądem zewnętrznym, upodobaniami, a nawet mentalnością. Być może to tylko fantazje czytelnika, ale czy Pine nie prześladowała

przypadkiem w trakcie pisania natrętna myśl o amerykańskiej dwoistości?

Porzucić wygodne i bezpieczne miejsce w dziale badania opinii publicznej w stacji CNN na rzecz pracy kontraktowej w wytwórni filmowej wydaje się z polskiego punktu widzenia decyzją ryzykowną, może nawet szaloną. Główna bohaterka, Karen, traci nie tylko dotychczasową posadę, pozbawia się też praw socjalnych, porzucając pracę na rzecz nowego zajęcia. W hierarchii zawodowej, obiektywnie oceniając, spada o dwa stopnie w dół. Nie ma żadnej gwarancji, że kolejny ranek pracy będzie ostatnim. Jednak godzi się na to, więcej, podchodzi początkowo do swojej nowej sytuacji z entuzjazmem. Dlaczego? Bo chce awansować, wejść do zaczarowanej krainy nowojorczyków, stać się częścią tej innej, lepszej, metropolitalnej Ameryki. Słowo o książce. Jako się rzekło, jest ona napisana z pozycji rozrachunku firmy przez byłego pracownika, który pomimo okoliczności łagodzących tak przykry fakt, łąduje w końcu na bruku. Nie byłby zatem niczym dziwnym w takiej sytuacji rys goryczy, cięń zawiedzionych nadziei. Jeśli nawet Pine miała takie chwile, w trakcie pisania „Bliźniaków z TriBeki” ustąpiły one miejsca satysfakcji z trafnie poczynionych obserwacji i dziennikarskiemu zacięciu, które u osoby mającej wobec żurnalistyki zawodowy dystans, budzić powinno szacunek. Tak czy owak, Rachel Pine posiada dany od Wyższej Istoty dar obserwowania zjawisk, ich analizowania i uogólniania, a jeszcze w dodatku potrafi z talentem i z wdziękiem przelać to, co widzi i analizuje, na papier. W efekcie jej debiut literacki, krom swoich licznych wartości, stanowi kilka godzin dobrej zabawy dla wdzięcznego czytelnika. Książka to wartka, złośliwa satyra na byle-jakość na szczytach fabryki snów. I tym bajkowym światem rządzi pieniądź, toteż zarządza się nią z Nowego Jorku, a do Los Angeles pracownicy firmy udają się na służbową delegację, aby oficjalnie odprawić to, co w zaciszu gabinetów dawnej nowojorskiej dzielnicy fabrycznej ustalono zawczasu. Nawet oskarowe gale zapina się na ostatni guzik poza Hollywood, gdzie tylko wypada się pokazać. O rządach pie-

niadza w świecie filmu jednak wiedzieliśmy, i to nie dziwi. Fascynuje w opowieści Rachel Pine swojska partacka improwizacja, obecna na każdym kroku w działalności filmowców. Dziwnie znajoma okazuje się też atmosfera, w której donosy i utracanie konkurencji należą do powszechnie stosowanych przyjmowanych bez wzniesienia brwi zachowań. A sądzić można, że to specyfika polskiego piekielka... Wreszcie tajemne schadzki w miejscach przeznaczonych dla nałogowych palaczy, gdzie przez chwilę można zapomnieć o toczącym się wyścigu szcurów.

W dawnej fabryce szpilek, którą Glorious Pictures, czyli Miramax wynajął na swoją siedzibę, wykorzystany jest każdy kawałek wolnego miejsca. Nie ma mowy o przerwie na lunch, praca wre od rana do wieczora, obalając mit innej tradycyjnej amerykańskiej wartości – normowanego czasu pracy. Szefowie są modelowym przykładem arogancji i niekompetencji a ich system wartości ma ścisły związek z tym, co o firmie donoszą media. W ramach dbałości o wizerunek dopuszczalna jest wolna amerykanka mająca na celu tylko jedno – zablokowanie działań konkurencji. Jeśli więc Karen Jacobs stanowiąca powieściowe alter ego Rachel Pine męczy się przez rok w takiej firmie, to kieruje nią przede wszystkim nadzieja na dostrzeżenie. Wszak w Glorious Pictures w wieku dwudziestu pięciu lat można zostać kierownikiem działu...

Karen Jacobs nie została kierownikiem działu. Szybko uświadomiła sobie, że w firmie obowiązuje podział na dwie kategorie: złote dzieci wywodzące się przeważnie z nowojorskiej inteligencji i konie robocze, które nigdy nie awansują. Chociaż sama znalazła miejsce w tym światku (nie dzięki inteligencji, lecz dobremu głosowi i umiejętnościom nabytym w CNN), to jednak zdawała sobie sprawę, że jeśli nie dojdzie do trzęsienia ziemi, czeka ją dreptanie w miejscu, podczas gdy inni, bez wysiłku będą ją wyprzedzać. Jeśli ktoś z faktu, że biznesem rządzą takie same prawa, niezależnie od szerokości geograficznej, czerpać może satysfakcję, tym lepiej. Ostatecznie w łańcuchu wydarzeń, które doprowadzają do uwolnienia Karen z kieratu fabryki szpilek symboliczna wydaje się scena, w której dziewczyna z prowincji i przedstawiciel mniejszości etnicznej – również pracownik Glorious Pictures przystępują do spożycia lunchu zwędzonego właścicielom wytwórni. W powszechnym bałaganie i niemocy tym dwojgu koni roboczych trafia się wreszcie smakowity kąsek...

Tomasz DYMACEWSKI

Rachel Pine, *Blizniacy z TriBeki*, Rebis, Poznań 2006



WSUS na „Pałuckim Piórze”

Po raz trzynasty już w Wągrowcu podsumowano i zakończono konkurs prasy szkolnej „Pałuckie Pióro”. Od pierwszej edycji zmagają młodych dziennikarzy prawdziwym dobrym duchem przedsięwzięcia, które niemal od samego początku ma zasięg ogólnopolski jest redakcja „Głosu Wągrowieckiego” i jego niestrudzony redaktor naczelny – Jerzy Mianowski. Wyższa Szkoła Umiejętności Społecznych, która nie po raz pierwszy gości na uroczystości podsumowania konkursu, miała w tym roku przyjemność ufundowania i wręczenia nagrody głównej w kategorii gazet ponadgimnazjalnych. Prorektor doc. Krzysztof Lewandowski wręczył aparat cyfrowy redakcji „Chrobry News” z Liceum Ogólnokształcącego im. Bolesława Chrobrego w Głucholazach.

W trakcie pokazu nagrodzonych i wyróżnionych prac spotkałimy znajomych z zaprzyjaźnionych i współpracujących z nami szkół: redakcję „Klika” z Wrocławia i „Kopernika” z Nowego Tomyśla. Także i te redakcje znalazły się w gronie laureatów konkursu „Pałuckie Pióro”.



Dni piękne i ważne

Estonia to kraj mały, a jeśli brać pod uwagę główne trakty Europy, to i położony z dala od zgiełku wielkich metropolii. Niewiele też o nim wiemy, prócz tego, że jest państwem ponad tysiącą wysp, że pod względem dynamiki rozwoju gospodarczego przoduje w wielu dziedzinach pośród wszystkich państw postkomunistycznych i wiemy jeszcze to, że Estończycy są przyjaźni, komunikatywni, a w polityce i w biznesie cenią sobie młodość i dynamikę.

Przy tak niewielkiej w gruncie rzeczy wiedzy o Estonii i jej mieszkańcach, każde wydarzenie przybliżające ten kraj i jego mieszkańców, jest godne odnotowania. Do niedawna jeszcze niezwykle trudno było o szerszą propozycję kulturalną, prócz sporadycznych wystaw, czy jeszcze radszych spotkań z estońskimi twórcami i artystami. W końcu Konsulat Honorowy Estonii w Poznaniu, w porozumieniu i przy współpracy Ambasady Estonii w Polsce i Stowarzyszenia „Pro Estonia” postanowił zmienić ten stan rzeczy, i w trakcie trzydniowego cyklu wydarzeń artystycznych pod wspólną nazwą „Dni Estonii w Polsce” ukazać piękno i różnorodność tego bałtyckiego kraju.

Zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami, Dni Estonii zainaugurowano w Baranowie pod Poznaniem. Na uroczystości w hotelu „Edison” obecni byli: zastępująca chorego Ambasadora Antsa Froscha Pani Liina Viies

sekretarz Ambasady Republiki Estonii, Marek Woźniak – Marszałek Województwa Wielkopolskiego, Zdzisław Hoffman – I Wicewojewoda Wielkopolski, Jan Grabkowski – starosta poznański, dyrektor Biura Kształtowania Relacji Społecznych Urzędu Miasta – Włodzimierz Groblewski, komendant wojewódzkiej policji – Henryk Tusiński, konsul generalny Federacji Rosyjskiej w Poznaniu – Władimir Kuzniecowa, konsule honorowi, Rektorzy i Profesorowie poznańskich uczelni, oraz dziennikarze. Na inaugurację, nie mógł dotrzeć podsekretarz stanu w ministerstwie Kultury i Dziedzictwa Narodowego Krzysztof Olenicki, gdyż obchody Dni Estonii zbiegły się w czasie z pielgrzymką Benedykta XVI do Polski.

Kiedy w hotelu „Edison” zgromadzeniu słuchali recitalu Chóru Akademickiego z Tallina, w siedzibie Wyższej Szkoły Umiejętności Społecznych przy ulicy Głogowskiej swoje wiersze prezentował estoński poeta i tłumacz, Aarne Puu. Spotkanie z zamieszkałym w Krakowie poetą poprzedził krótki wykład mgr Anny Michaluk z Uniwersytetu Wrocławskiego. Prelegentka zaprezentowała zgromadzonemu audytorium rys literatury estońskiej. Prezentowane utwory w języku estońskim, polskim oraz rosyjskim w pełni oddały ogólny charakter twórczości Aarne Puu, który zakończył, życząc wszystkim zebranym dużo miłości w życiu. Słowa te odnosiły się bez-

pośrednio do wiersza, wygłoszonego tego dnia jako ostatni.

Dzień inauguracji zwierzył pokaz estońskich filmów animowanych w Centrum Kultury „Zamek”. Druga część prezentacji dorobku estońskich filmowców zamykała obchody. Jednak szczególnym wydarzeniem z obszaru sztuki filmowej był wieczorny pokaz w drugim dniu obchodów. W kinie „Malta”, które od dłuższego czasu specjalizuje się w pokazach obrazów ambitnych, na wysokim poziomie artystycznym, odbyła się projekcja najgłośniejszego estońskiego filmu ostatnich lat – animowanego obrazu 007 przygód Franka i Wendy, który szeroko komentowany w USA, został nominowany do najbardziej prestiżowej nagrody w kinematografii komercyjnej – Nagrody Amerykańskiej Akademii Filmowej (Oskara).

Najwięcej intensywnych wrażeń artystycznych dostarczył drugi dzień prezentacji. W Suszni Starego Browaru otwarto dwa niezwykle interesujące wernisaże. Pierwszy koncentrował się wokół plakatu. Po odnalezieniu w Archiwum Estońskiej Akademii Nauk dużych zbiorów plakatów prezentujących różne dziedziny życia pod władzą sowiecką, estońscy twórcy zdecydowali się na podjęcie niezwykłego eksperymentu artystycznego. Tworząc swoiste pendant do niektórych dokonani swoich poprzedników, w tej samej technice wykonali plakaty współczesne. W ten sposób powstał unikalny obraz przemian współczesnej Estonii, a jednocześnie pokłon korzeniom narodowym, które pomimo dziesięcioleci intensywnej rusyfikacji przetrwały tworząc pomost, dzięki któremu współczesność potrafi harmonijnie korespondować z przeszłością. Wreszcie prezentacja w Suszni miała swoisty urok, który wypływał z wiernej adaptacji twórców, pracujących na codzien w innej technice, do manieri i wykonawstwa swoich poprzedników. W efekcie powstały dzieła skłaniające do refleksji: momentami zabawne, częściej nostalgiczne. Było również widać jak na dłoni, iż unifikacyjne sowieckie wzorce kulturalne nie przystawały do estońskiej tradycji i sposobu widzenia kultury; w zestawieniu z oryginalnymi źródłami twórczości ludowej i narodowej prezentowały się obco i sztucznie. Należy z szacunkiem odnieść się do inicjatorów i twórców wystawy, którzy uznali –

sluszenie – okres socrealizmu w sztuce za rozdział, bez którego obraz dziedzictwa narodowego ich kraju nie byłby pełny. Artystyczny komentarz wobec tamtych lat w sztuce estońskiej wydaje się trafionym i godnym propagowania sposobem dialogu z przeszłością.



Osobnym wydarzeniem okazała się wystawa fotografii zakochanego w Estonii i mieszkającego tam od kilku lat Hiszpana – Fernando Conde Lamasa. Jak każda miłość, tak i ta ma swoje różne oblicza. Autora zdjęć zafascynowało przepoczwarzanie się Estonii w państwo prawdziwie europejskie. W trakcie takich wydarzeń coś zyskuje się, coś innego traci. Lamas dostrzega starą Estonię, kraj sprzed czasów sowieckich, chwilami jest to jeszcze Estonia carska, czasem mająca w sobie nawet coś z dawnej Kurlandii. Niektóre zdjęcia z tej wystawy zapadają głęboko w pamięć, tak jak niedawno wzniesiony wieżowiec dominujący nad bryłą zabytkowego kościoła, czy stary porządek zapożyczony na tle rozpadającej się chaty rybackiej. Tylko prawdziwe zakochanie i fascynacja tematem skierować mogły obiektyw w stronę tych scen, bo przecież nie nadają się one do turystycznych folderów. To jednak też prawdziwa Estonia, a te zapomniane zakątki też mają niezwykły, zniwelujący urok. Fernando Conde Lamas potrafił ten urok utrwalić obiektywem i sprawił, że na Estonię spoglądamy z jeszcze większą sympatią i zrozumieniem jako na kraj kontrastów, tajemniczych zakątków i nostalgicznego bałaganu przeszłości, które być może już wkrótce tylko fotografia będzie dokumentować.

I wreszcie występ, który miał być atrakcją Dni Estonii. I stał się nią w istocie. Reino Rannap – pianista i kompozytor, znany dotąd polskim melomanom przede wszystkim z nagrań płytowych późnym popołudniem 26 maja w Sali Czerwonej Pałacu Działających dał próbkę swoich niepospolitych możliwości. Okazało się, że należy to wcale nie tak licznej grupy artystów, którzy nie tracąc nic ze swego



kunsztu, potrafią tworzyć klimat bliskiego, niemal bezpośredniego kontaktu ze słuchaczami.

Rannap jest pianistą artystycznie spełnionym. Muzyka, którą gra cieszy go, a naturalne w takiej sytuacji fizyczne wyczerpanie traktuje jako nieuniknione koszty swojej profesji. Rzecz o tym, że przez ponad godzinę swego recitalu ani na chwilę nie zwolnił tempa. Nawet sławny Liberace niejednokrotnie stopował dla nabrania oddechu. Reino Rannap, który ma za sobą dobrą, profesjonalną szkołę grania, nabytą i udoskonaloną w Nowym Jorku potrafił skłonić do spolegliwości i pełni współpracy fortepian w Sali Czerwonej, a jak wiadomo, ów niejedno mógłby wygrać o tych, którzy się z nim mierzyl. Pianista nie zapominał przy tym ani na chwilę, że występuje dla publiczności, która ceni sobie swego rodzaju partnerstwo, jakie nawiązuje się między wykonawcą i słuchaczami.

Rannap jest równie dynamiczny i perfekcyjny w swobodnej impresji na temat estońskiej muzyki ludowej, jak w zachowującej linię muzyczną i odwzorowanie instrumentarium interpretacji „Bohemian Rhapsody”. W tym wypadku artysta niczym dyrygent odczytujący partyturę skłaniał fortepian do pełni wysiłku dowodząc jednocześnie, że – wbrew utartym opiniom – fortepian jest również multiinstrumentem. Wielki podziw wzbudzić musiało odczytywanie przez Rannapa Bethovena a zwłaszcza „Bolera” Rawela, w którym instrumenty klawiszowe w zasadzie nie istnieją. Estoński pianista posiada niezwykły dar od Stwórcy – mocne, nietlumione uderzenie, które potrafi modulować stosownie do swoich potrzeb. Dzięki temu jego muzyka ma nie tylko dynamikę, ale i głębię.

Sala Czerwona nie codzień ogląda owacje na stojąco, które nie są bynajmniej wyrazem jedynie kurtuazji. Dla uczczenia

Rannapa słuchacze zerwali się spontanicznie ze swoich miejsc i był to hold naturalny dla artysty, który potrafił zachwycić i co jeszcze ważniejsze – przekonać o swojej rzeczywistej niepospolitej wartości.

Kilka ciepłych słów poświęcić trzeba koniecznie Chórowi Akademickiemu z Tallinna. Towarzyszył wszystkim ważniejszym wydarzeniom Dni Estonii, przemieszczał się wraz z nimi cierpliwie, bez względu na pogodę i zawsze z uśmiechem Dwudziestu pięciu chórzystów i chórzystek reprezentowało młode pokolenie estońskiej wokalistyki, ponieważ ta stoi na wysokim poziomie, słuchanie chóru należało do szczególnej przyjemności. Spora w tym zasługa obojga dyrygentów, Merike Aarma i Aivara Leštšinskiego (mimo swojsko brzmiącego nazwiska nie władał niestety polszczyzną). W trakcie trwania Dni Estonii chór wykonywał kompozycje z bogatej skarbnicy estońskiej twórczości ludowej, wariacje na tematy klasyczne, a nawet standardy bluesa czy pop. We wszystkich dziedzinach jednakowo spontaniczni, a zarazem profesjonalni.

Dni Estonii podsumował otwarty wykład konsula honorowego Estonii w Poznaniu, prof. dra hab. Michała Iwaszkiewicza. Studenci wypełnili aulę niemal po brzegi. Prelegent w trwającym ponad godzinę wykładzie przedstawił zgromadzonemu audytorium państwo Estońskie, jego kulturę, geografę i gospodarkę. Widownia ponadto miała okazję zobaczyć film prezentujący uroki estońskiego krajoobrazu. Wraz z zakończeniem wykładu, Pierwsze Dni Estonii przeszły do historii. Co pozostało? Z pewnością przekonanie o tym, że tego rodzaju spotkania są niezmiernie potrzebne. Pomimo coraz dłuższego stażu w Unii Europejskiej wiemy o sobie wciąż znacznie mniej, niż chcielibyśmy wiedzieć. Znamy się dobrze, choć moglibyśmy lepiej. Wymiana kulturalna i artystyczna stanowi najlepszą wizytówkę naszego dorobku sięgającego w głąb wielu pokoleń. Rozumiejąc to, spontanicznie podjęto pierwsze kroki, aby w Poznaniu zawiązać stowarzyszenie Pro Estonia jako najlepszy i skuteczny pomost dla porozumienia pomiędzy naszymi kulturami i narodami. Oto jeszcze jedna korzyść, jaką przyniosły te dni, piękne i ważne.

Tomasz DYMACEWSKI

fot. archiwum WSUS

Finis coronat opus

Finis coronat opus czyli koniec wieńczy dzieło – to tradycyjna formuła wypowiadana na zakończenie uroczystości absolutorijnej przez Jego Magnificencję Rektora WSUS. O ile same absolutoria są specyfiką Wielkopolski, o tyle formuła, połączona z trzykrotnym uderzeniem rektorskiego berła jest charakterystyczna dla tej właśnie Uczelni. Tym razem karty absolutoryjne otrzymało ponad półtorej setki licencjatów Zarządzania i Marketingu i Dziennikarstwa i Komunikacji Społecznej. Po raz kolejny odbyło się też absolutorium dla 60 magistrów DiKS.

Jak zazwyczaj było podniosło i wzruszająco. Rodzice i bliscy absolwentów stali się nie uронić ani chwili z tak ważnych dla nich wydarzeń. JM Rektor przypomniał, że opuszczenie murów WSUS nie jest końcem kontaktów ze Szkołą i że liczy na dalszą współpracę a także i na to, że kończący studia będą rozślawiali swoją Szkołę poprzez przyszłe dokonania. Żegnali absolwentów także obaj dziekan – dr Zdzisław Szkutnik i dr Maciej Ziernowski. Tradycyjnie okazał oprawę nadał uroczystościom Teatr Wielki.

Nieco inny przebieg i oprawę miało pierwsze na taką skalę w Wyższej Szkole Umiejętności Społecznych absolutorium grupy zawodowej. Policjanci, dla których uroczystość wieńczyła dwuletnie studia uzupełniające magisterskie w Uczelni, szkolne mury opuszczali z wyraźnym wzruszeniem. Wielokrotnie w trakcie oficjalnych wystąpień, jak i w kuluarach podkreślano, że tych 60 słuchaczy pozostawiło niezatarty ślad, spędzając w WSUS ważne lata swojego życia i kariery.

Dla Uczelni studia grupy policyjnej przyniosły wiele różnorodnych doświadczeń, a przede wszystkim potwierdziły tezę, że podjęte działania zmierzają we właściwym kierunku – zmiany wizerunku społecznego i zawodowych preferencji pracowników policji.

W czasie absolutorium określenie „policjant XXI wieku” często przywoływane w czasie wystąpień łączono z wartościami takimi jak: wiedza zawodowa i społeczna, komunikatywność, kreatywność zawodowa i osobista, znajomość nastro-



jów społecznych, umiejętność przewidywania reakcji w sytuacjach kryzysowych i wpływ na nie. JM Rektor w swoim wystąpieniu przypomniał, że w trakcie początkowych zajęć nie tak łatwo było przełamać określone stereotypy wizerunku stróża prawa, tłumaczyć potrzebę rozszerzania i wzbogacania horyzontów zawodowych. Profesor Michał Iwaszkiewicz podkreślił także, że karty absolutoryjne otrzymują wzorowi studenci WSUS z grupy, w której średnia ocen nie spadła poniżej 3,80 a w górnym pułapie sięgnęła niemal 5,0. Rektor stwierdził, że była to grupa nie tylko pod każdym względem zdyscyplinowana, ale i warta stawiania innym za wzór gdy rozpatrywać wyniki osiągnięte w nauce.

Warto przypomnieć, że wielu słuchaczy w trakcie studiów awansowało na wyższe stopnie służbowe i przeszło na wyższe stanowiska. Podkreślił to w swoim wystąpieniu Bogdan Borowicz, zastępca komendanta wojewódzkiego policji, który wręczył najlepszym studentom przyznane przez komendanta wojewódzkiego nagrody pieniężne.

T. DYMACEWSKI
fot. archiwum WSUS

Wszystko na kredyt

Arkadiusz Pacholski należy do nielicznej grupy polskich prozaików, którzy nie rozdrapując przeszłości, potrafią z nią się mierzyć bez kompleksów. Jednak prestiżowe nagrody literackie to dowód uznania nie tylko dla tematyki, jaką porusza, ale i waleń pisarstwa. Nadto Pacholski nie lęka się zapasów z gatunkiem, który w naszym kraju – niezależnie od rzeczywistości społecznej i politycznych układów – jest wciąż popularny. Arkadiusz Pacholski napisał powieść detektywistyczną, która w Polsce de facto jest powieścią policyjną.

W rodzimej tradycji literackiej policyjny śledczy to inteligent – pasjonat, nieco zagubiony w świecie przemocy, skazany na współpracę z osobnikami ustępującymi mu lotnością i sprawnością intelektualną, w dodatku politycznymi doktrynerami. Kłasyyczny duet Borewicz – Zubeł z popularnego w latach 70. ubiegłego wieku serialu jest tu niemal modelowym przykładem. Nawet niezmiernie sympatyczny Bednarski z innego serialu, choć prywatny detektyw i człek chwiejny, budzić musiał pozytywne skojarzenia. Swoisty fenomen tamtych lat nakazywał Polakom karmić się złudzeniami, że śledczy to zagubiony inteligent, który zaświeciwszy nam lampą w oczy (bo musi) być może nas i pożałuje. Nie trzeba dodawać, komu taki wentyl polityczny służył przede wszystkim, i po co takie złudzenia w społeczeństwie pielęgowano. Jeśli się czemuś dziwić trzeba, to skwapliwości, z jaką te z gruntu fałszywe wyobrażenia krzewili ludzie kultury, marnując na nie swój talent. Wiem, o czym piszę, przecież samej Joannie Chmielewskiej – pisarce nie tylko kobiecej (sam chętnie podkradam czasem Chmielewską żonie) – zdarzyło się zrodzić sympatycznego i przystojnego na zabój oficera milicji, którego w adaptacji filmowej z wdziękiem kreował Andrzej Łapicki.

Wydów, jaki przeprowadziłem, zmierza do odniesienia się z szacunkiem, a nawet podziwem do konsekwencji, z jaką Arkadiusz Pacholski bohaterem „Człowieka o stu twarzach” uczynił sympatycznego gadułę, inspektora Lipskiego. Fakt, iż przez większość zawodowej kariery ówże Lipski był zapewne oficerem Milicji Obywatelskiej,

nie przeszkadza, aby okazał się wybitnie oblatnym w kulturze znawcą kuchni, obieżyświatem encyklopedystą i w dodatku dobrym wujkiem bez

cienia erotyzmu pocieszającym atrakcyjne seksualnie maturzystki. Jakby tego wszystkiego było mało. Lipski jest pracocholikiem, rozpieszczanym i bez cienia wątpliwości akceptowanym przez żonę – wciąż tą samą od dnia promocji. Borewicz, Franc Murer, a nawet kapitan Sowa wobec takiego wzoru cnót jak Lipski to tylko bagno. Ach, byłbym zapomniał, Lipski ma przecież znajomków w komendzie stołecznej, po której snuje się ze swobodą i wdziękiem niczym Joker po Gotham City. Z tym wszystkim pragnę tylko jednego; jeśliby ktoś miał ograniczyć moją wolność i mnie przesłuchiwać, to niech to będzie Lipski właśnie.

Reszta jest u Pacholskiego jak najbardziej wiarygodna, a nawet jakby z okresu naszego demokratycznego raczkowania żywcem wyjęta. Postaci krwiste, żywe, choć celowo przejawskrawiane, czasem potrafią zabawić, jak maskary z najlepszych odcinków Dołęgi – Mostowicza. I podobnie jak u tego arcyfajnego obserwatora rzeczywistości międzywojnia, Pacholski unikając dosłownego portretowania szeregu postaci, ma na myśli konkretne, żyjące po dziś dzień w naszym otoczeniu osoby. Tego się domyślę, ponieważ akcja powieści toczy się w Wielkopolsce, zatem w regionie, w którym od lat się obracam i co najmniej w dwóch wypadkach odniosłem portrety do konkretnych, znanych mi osób. I raczej się nie mylę.

O samej akcji, o wątku kryminalnym, o zaskakującym, niekonwencjonalnym rozwiązaniu nie będę tu opowiadał. Warto „Człowieka o stu twarzach” przeczytać i samemu ocenić, czy Pacholskiemu udało się zbudować opowieść na sprawdzonych, dynamicznych zasadach kryminalnej intrygi. Osobiście odnoszę się do pracy autora ze szczerym prawdziwie uznaniem. Widać, że Pacholski ma talent w opisywaniu rze-



czywistości i wybijaniu na plan pierwszy pożądaných przez siebie wrażeń. Przy tym potrafi elastycznie zmieniać nie tylko styl, ale wręcz technikę narracji. Scena, w której Lipski przekazuje niezmiennie ważne dla dalszej akcji informacje nie przerywając przyrządzania jajecznicy jest autentycznie świetna. Dowodzi, że w Pacholskim drze-
mią znaczne jeszcze, dotąd nie eksploatowane możliwości. Także w dziedzinie operowania dialogiem, w czym autor „Człowieka o stu twarzach” zapisuje się blisko czołówki polskich współczesnych prozai-
ków, piszących o czasach obecnych i używających współczesnego języka.

„Człowiek o stu twarzach” to druga opowieść z cyklu „Kroniki polskie”. Pacholski powraca wraz z nami do czasów przejściowych, kiedy to na początku lat 90. powstawała nowa rzeczywistość. W pewien oryginalny sposób, nowe i stare zawarły ze sobą mariaż. Starego w jeden dzień usunąć się nie dało, nowe roztaczało zupełnie odmienne od znanych dotąd perspektywy. Taka symbioza pozwalała egzystować warunkowo, niejako na kredyt. Kredyt zaufania istniał wszędzie: w stosunkach międzyludzkich, w biznesie, w polityce, w kulturze, w sporcie, a nawet w mediach i w życiu Kościoła. W tych warunkach rozwijały się i gasły kariery, weryfikowały autorytety. Nigdy chyba w nowoczesnej historii naszego kraju „dziś” nie przechodziło tak łatwo w „jutro”.

Tytułowy człowiek o stu twarzach, artysta doskonały, a zarazem konsekwentny, wręcz konserwatywny w swoich poszukiwaniach, zdążył do życia niejako na kredyt cudzej tożsamości. Świadomie czy też nie – Pacholski uczynił z niego symbol tamtych niełatwych, choć wspominanych z sentymentem czasów. Cieszyć musi fakt, że istnieje pisarz, który z niedawnej przeszłości nie czyni ani kazalnicy, ani więzienia. Po prostu opowiada z dystansem, zaprawionym ironią, często twardą drwiną, o ludziach, którzy wówczas umieli się odnaleźć i o tych, którzy się zagubili. Chwała mu za to. Może nawet istniał taki idealny Lipski – policjant? Wtedy wszystko było możliwe.

Tomasz DYMACZEWSKI

Arkadiusz :Pacholski, Człowiek o stu twarzach, cykl Kroniki polskie, Rebis, Poznań 2006.



Etniczne brzmienia

Po raz szósty na estradzie nad jeziorem Szczygliczka na terenie rekreacyjno-wypoczynkowym w Ostrowie Wielkopolskim pojawiły się z gorącymi brzmieniami reggaeowe zespoły muzyczne z różnych zakątków świata. Nazajutrz królowały na niej rytmy i muzyka folklorystyczna w ramach Festiwalu ETNO-EKO-FEST, które zapewniły fanom wspaniałą zabawę, nieprzeciętne doznania i przeżycia.

Szczygliczka to doskonale miejsce dla miłośników współczesnej muzyki popularnej. Organizatorzy mają nadzieję, że podczas koncertów publiczność słucha nie tylko poszczególnych wykonawców, lecz i samych siebie, wsłuchując się w swoje wnętrza. Festiwal to także okazja do spotkania z ciekawymi zespołami i niebanalnym repertuarem, a także sposobność znalezienia wypróbowanych przyjaciół. Co bardziej ambitni wykorzystują szansę na sprawdzenie swoich umiejętności muzycznych i... występ!

Tego roku podczas kilkugodzinnego koncertu wystąpili: Kwartet Jorgi, Kros, Krzysztof Jarmużek, grupa Bravo Chura – muzycy z Peru, Mozambiku i Boliwii, zespół folklorystyczny z Ukrainy. Przewidziano także konfrontację grup „z naszego podwórka”, zespół Amaryllis, wykonującym muzykę stylizowaną średniowieczem z zachowaniem pełnego brzmienia instrumentów klawiszowych, i Sun Flower Orchestra (polsko-angielski ansambl). Znakomite muzycznie prezentacje, temperament artystyczny wykonawców przyciągają do nich tak wielu wiernych miłośników mocnych i nie dających się zapomnieć wrażeń, pamiętanych z roku na rok przez coraz większą rzeszę uczestników. A słuchacze spragnieni ciekawych doświadczeń mogli poeksperymentować na takich instrumentach, jak: conga, cymbały, bębny.

Marek Henschel

I dla głowy i dla serca

Był taki czas, w początkach polskiej demokracji, kiedy Wojciech Cejrowski stał się osobistością telewizyjną. Jako jeden z pierwszych poprowadził swój autorski program „WC Kwadrans”. Tytułowy skrót to oczywiście jego monogram, skojarzenia jednak, nieprzypadkowo były inne. Przyznaję, że w okresie emisji „WC Kwadransa” nie należałem do jego zwolenników. Uważałem, że ostra, personalnie ukierunkowana satyra to zbyt ostentacyjne „czepianie się” osób i zjawisk z życia politycznego i społecznego. Obecnie, z perspektywy wpływających już kilkunastu lat przyznać muszę, że ogromna część racji była po stronie Cejrowskiego, ja zaś, co... byłem po prostu głupi i naiwny. Zresztą „WC Kwadrans” był ewenementem z punktu widzenia współczesnych mediów: na ekranie istniał tylko Cejrowski i jego kubek. Dzisiaj, trzeba pochylić z szacunkiem głowę wobec niewątpliwej osobistości medialnej, jaka był Wojciech Cejrowski: denerwował, prowokował, ale nie nużył.

Pewne uprzedzenia pomimo lat pozostają i stąd zapewne „Rio Anaconda” to mój pierwszy kontakt z pisarstwem Cejrowskiego. Powiem od razu, że określenie „pisarstwo” jest jak najbardziej uprawnione wobec książki, która tylko z pozoru jest książką podróżniczą. W rzeczywistości jest to jedna z najlepiej i najbardziej skreślonych opowieści z dziedziny antropologii kulturowej, jaką czytałem w ogóle.

Podróżnicy piszą z różnorakich przyczyn. Relacje z odbytych wypraw są nieraz drogowskazem dla następców, innym razem decyduje chęć podzielenia się ciekawymi wrażeniami z opinią publiczną. Bywają także pozycja mniej lub bardziej wyraźnie przeznaczone do tego, aby autorowi wystawić pomnik literacki. Tak czy owak, relacje podróżnicze przyczyniają się do poznania, do ogarnięcia świata z całą jego różnorodnością i to z pewnością ich pierwsze zadanie. Warstwa druga narasta wraz z czasem: te książki stają się dokumentem przybliżającym pewien etap szybko zmieniającej się rzeczywistości. Są wartości, które trwając od wieków, a w przeciągu kilku lat znikają, jakby ich nigdy nie było. Relacje podróżnicze utrwalają je i zachowują.

Wojciech Cejrowski nieco inaczej: opisuje świat, który znika w tempie zastraszającym nie przedstawia go jednak wprost a pod kamuflażem, który utrudnia odnalezienie i zlokalizowanie siedliska Ludzi Wewnętrznych, czyli ostatnich Indian Amazonii żyjących w sposób pradawny, według odwiecznych zasad i reguł. Zapewne w pierwotnej wersji autor napisał więcej i inaczej; sam kilkakrotnie przyznaje, że napisał kilka wersji „Rio Anaconda”, że zmieniał niektóre wątki, niektóre pomijał, wreszcie były i takie, które kumulowały w sobie kilka różnych wydarzeń połączonych ze sobą nie na zasadzie przypadku, lecz określonej z góry założonej koncepcji. W efekcie powstała opowieść, która lekceważąc chronologię, na plan pierwszy wysuwa rzeczy i sprawy, które przy innej konstrukcji umknęłyby być może naszej uwadze. „Rio Anaconda” jest w pewnym, nie małym zakresie książką także o władzy i jej nosicielach. Przede wszystkim o czarownikach i szamanach, o starych szanowanych i słuchanych członkach pierwotnej wspólnoty, o pisanych przez autora kursywą ludzi, którzy pamiętają wiele wiosek. Cejrowski żyjąc wśród tych ludzi, którzy białego człowieka znają z legend lat gorączki kauczukowej, bądź nie znają go w ogóle, potrafił użyć sumę doświadczeń spożytkować w obronę tego, co naturalne, co żyjące w myśl praw i nakazów przodków okazuje się autentyczne i nieklamane. Kultura plemion wewnętrznych Amazonii obywateli się bez wytworów wyrafinowanej cywilizacji, a nawet wioski położone na obrzeżach i stykające się ze światem współczesnym, zachowują dystans i rezerwę charakterystyczną dla społeczności, która pragnie zachować swoją własną odrębność.

Wśród literatów – podróżników Wojciech Cejrowski zachowuje pozycję odrębną, by nie rzec – osobną. Nie przyjdzie łatwo wskazać pisarza, który z równym zamięłowaniem, a zarazem niekonwencjonalnie opisywałby swoje przygody. Najbliższej metody Cejrowskiego pozostają chyba



Karol Olgierd Burkhardt i Wacław Korabiewicz, winniśmy jednak pamiętać, że obaj, a pierwszy z nich w zupełności, są marynistami. Zresztą żaden z nich nie sięgał tak w głąb ludzkiej osobowości i nie opisywał w sposób podobnie otwarty zjawisk nie poddających się rozpatrywaniu w kategoriach racjonalnego umysłu. W tym względzie jest Cejrowski pionierem narracji, która mogłaby uchodzić za podróbnicze sciencce fiction gdyby nie to, że znaczna część tych rzeczy mogła wydarzyć się naprawdę.

Na koniec dwie deklaracje recenzenta. Pierwsza – skoro przeczytałem „Rio Anaconda” sięgnę po poprzednią pozycję autora: „Gringo wśród dzikich plemion”. Druga deklaracja – postaram się gruntownie zapoznać z całą serią wydawniczą, którą Wojciech Cejrowski realizuje. Sądzę, że jest to gwarancja dobrej marki. Dodam jeszcze, że książka jest pięknie, niezwykle starannie, a przy tym niekonwencjonalnie wydana. Pod tym względem stanowi wartościowy standard. Chyba więc dodawać nie muszę, że gorąco rekomenduję „Rio Anaconda”. Przeczytać warto nie tylko dla rozrywki, ale i dla głowy i dla serca.

Tomasz DYMACEWSKI

Wojciech Cejrowski, „Rio Anaconda”, Zys i SKA, Seria Wydawnicza Biblioteki „Poznań Świat”, Poznań 2006.

Wystawa studentów ASP po raz trzeci

Akademia Sztuk Pięknych w Poznaniu jest uczelnią wyższą, z którą WSUS utrzymuje szczególnie bliskie kontakty. W ramach współpracy obu szkół, studenci Akademii cyklicznie organizują wystawy w holu WSUS – w przestrzeni dość trudnej dla działań artystycznych, posiadającej jednak swój specyficzny klimat i koloryt. Tym razem, w ramach trzeciej już wystawy zaprezentowali swoje prace studenci wydziału Edukacji Artystycznej oraz wydziału Rzeźby i Działań Przestrzennych.

Jak podkreślił w trakcie wernisażu prof. Jacek Jagielski, w którego pracowni powstała część z eksponowanych prac, wspólnym mianownikiem jest tym razem poszukiwanie obszarów jeszcze nieodkrytych w przestrzeniach i formach z pozoru tylko oczywistych i niezmiennych.

Organizując wystawę i dokonując wyboru prac, które miały być prezentowane, organizatorzy wystawy – a przypomnijmy, że to już trzecie tego rodzaju przedsięwzięcie w tej samej przestrzeni ekspozycyjnej – dali wyraz swoistemu przyzwyczajeniu, by nie rzec poprawnie – oswojeniu rzeczywistości, w której zaistnieć miała wystawa. Toteż dobór prac świadczył o przekonaniu kuratorów, że w holu WSUS najbardziej przekonujące okażą się obrazy i inne formy płaskie o zdecydowanymi mocno podkreślonym kolorycie, o wręcz kontrastowej fakturze. Jednocześnie – biorąc pod uwagę nieunikniłą konfrontację z nieustannym, zróżnicowanym w swoich przejawach własnym życiem, holu – twórcy wystawy preferowali formy dynamiczne, kojarzące się z ruchem i prowokujące wrażenie dynamiki, przyspieszenia, a czasem i cyklicznej rytmiczności.

Przyszła jednak czas finisażu i wystawa przeszła do historii. Wyrażenie wdzięczności twórcom i organizatorom rzuca się ładną i pożyteczną tradycją. JM Rektor i prof. Jacek Jagielski wyrazili uznanie i podziękowali za zaangażowanie tym wszystkim, dzięki którym ekspozycja mogła być prezentowana – tak dożyłym i atrakcyjnym jednocześnie dla widza. Miłym wyrazem uznania, wspomnieć winniśmy sympatycznym dla obdarowanych, były specjalnie okrojone dyplomy pamiątkowe. Otrzymali je twórcy i organizatorzy artystycznego przedsięwzięcia, które zdobyło nam na tyle dużego, aby na trwałe wpisać się w dzieło współpracy obu uczelni.

T. D.



Jak Gniezno podbiło Brukselę

Współcześni Brabanczyki wiedzą o Gnieźnie mniej więcej tyle ile ich przodkowie – kupcy handlujący z Anglią, czy żołnierze walczący z Hiszpanami o niepodległość – czyli prawie nic. Stąd inicjatywa zaprezentowania w stolicy europejskiej wspólnoty fotograficznych impresji z Gniezna i okolic. Któż nadaje się lepiej do takiej prezentacji niż Mirosław Skrzypkowski – człowiek zakochany w pierwszej stolicy Polski od zawsze, czyli od czasu, kiedy – jak mawiały nasze babcie – nosił jeszcze koszulę w zębach. Nic zatem dziwnego, że władzom samorządowym Wielkopolski i władzom Gniezna nie nasręczył żadnej wątpliwości wybór sposobu zarekomendowania miasta i regionu – to musiały być zdjęcia Skrzypkowskiego!

Gerhard Stahl – Sekretarz Generalny komitetu Regionów i jednocześnie gospodarz obiektu, w którym zainstalowano ekspozycję, chwalił pomysł i jego realizację nie tylko kurtuazyjnie. Witając licznie przybyłych gości, wyraził swoje uznanie dla Wielkopolski i jej władz, iż poprzez piękną artystyczną ekspozycję ukazano historię nie tylko regionu, ale i całego państwa. Bogactwo tej historii, jej różnorodność budzi szacunek i podziw – powiedział Gerhard Stahl otwierając wystawę. Podkreślił też fakt, że ekspozycja z Polski wpisuje się w realizację idei, zgodnie z którą właśnie gmach Komitetu Regionów służy ukazaniu dorobku i osiągnięć, a często wspanialej przeszłości, które stanowią specyfikę części terytoriów poszczegół-

nych państw w pełni należą zarazem do europejskiego dziedzictwa.

W podobnym duchu wypowiadał się podczas uroczystości otwarcia współgospodarz wystawy, Marszałek Województwa Wielkopolskiego, Marek Woźniak. Podkreślił, że Gniezno jest jednym z niewielu miejsc, gdzie historia na każdym kroku współistnieje z teraźniejszością, a klimat początków państwa i XXI stulecia przenikają się nawzajem. Marszałek podkreślił też, że intencją autora zdjęć było pokazanie tej niezwyklej symbiozy, jaką stwarza wzajemne przenikanie się przeszłości z teraźniejszością. Jacek Kowalski – starosta gnieźnieński, nawiązując do poprzednich wypowiedzi przypomniał obawy, jakie towarzyszyły części Polaków w okresie integracji z Unią Europejską, obawy o utratę tożsamości i narodowej odrębności. Wystawa Mirosława Skrzypkowskiego w tym miejscu, i sposób w jaki została przyjęta, jasno dowodzą, że te obawy były bezpodstawne – powiedział starosta.

Wystawa składała się z 52 zdjęć podzielonych na trzy grupy tematyczne: Gniezno, okolice Gniezna oraz „krok w nowoczesność”, czyli komputerowe aranżacje zdjęć autora. Wystawa przed wyjazdem do Brukseli była prezentowana w Gnieźnie. Warto podkreślić kolejny sukces Mirosława Skrzypkowskiego, zakochanego w Gnieźnie i Wielkopolsce fotografa, wykładowcy Wyższej Szkoły Umiejętności Społecznych. Tym razem podbił Brukselę.

T.D.

fot. arch. Starostwa Powiatowego w Gnieźnie



Zamięłowanie w naukach ciągle aktualne...

Poznańskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk powstało w czasach gdy w Poznaniu nie było polskich uczelni. Stąd też PTPN nazywano często pramatką poznańskich szkół wyższych.

12 stycznia 1857 roku odbyło się zebranie podczas którego uchwalono statut Towarzystwa. Wówczas członkowie nie musieli legitymować się tytułami naukowymi (choć kilku założycieli miało doktorat), ale obowiązywało „zamięłowanie w naukach”. Towarzystwo w swoim statucie zapisało jako cel główny i najważniejszy: „pielęgnowanie nauki i umiejętności w języku polskim”, co było niezwykle istotne w czasie zaborów i germanizacji.

Wśród pierwszych członków PTPN przeważali ziemianie, bo to oni byli kolekcjonerami i koneserami sztuki, to oni mogli pozwolić sobie na gromadzenie dzieł sztuki, na naukowe wojaże poznawcze, na finansowanie badań naukowych. Byli mecenasami nauki i sztuki. Warto przywołać nazwiska pierwszych prezesów PTPN: August hr. Cieszkowski (m.in. fundator Szkoły Rolniczej im. Haliny w Żabikowie), jego następca Tytus hr. Działyński (założyciel Biblioteki Kórnickiej, wydawca źródeł historycznych) czy Seweryn hr. Mielżyński – wówczas prezes honorowy, dziś patron ulicy przy której znajduje się, ufundowany przez niego, gmach PTPN. Nie był to zresztą jedyny gest hojności Mielżyńskiego wobec Towarzystwa – podarował również m.in. swoją wspaniałą kolekcję obrazów...

Od tamtych wydarzeń mija 150 lat.

Czym jest Poznańskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk dzisiaj? Jaką rolę pełni w pejzażu naukowym Poznania?

Rozmawiam z prezesem PTPN (18. od czasów Cieszkowskiego) prof. dr. hab. Jackiem Wesołowskim.

Towarzystwo jest korporacją uczonych z Poznania i, częściowo, z Wielkopolski. To u nas mogą się oni spotykać bez nadzoru swoich uczelnianych przełożonych. Mamy 1100 członków i 10 członków honorowych. PTPN pełni rolę forum dyskusyjnego dla naukowców, skupionych w licznych wydziałach i komisjach: humanistycznych, przyrodniczych, medycznych. Mamy własne wydawnictwa – książki, czasopiśma, prowadzimy bibliotekę. Dzięki

wymianie publikacji i czasopism z kontrahentami zagranicznymi posiadamy komplety czasopism.

Mówi się, że członkowie Towarzystwa to elita naukowa Poznania a przynależność do PTPN – nobilituje. Czy każdy naukowiec może zostać Waszym członkiem? – Wyjaśnijmy, że do naszego Towarzystwa nie można wstąpić. Trzeba być rekomendowanym przez innych członków a kandydatura musi zostać zatwierdzona przez komisję lub wydział. Taka procedura chroniła kiedyś PTPN przed Niemcami, teraz chroni przed... chałturnikami.

Towarzystwo powstało nie tylko dzięki „zamięłowaniu w naukach” ale, może przede wszystkim, dzięki pieniądзом i rozmaitym innym formom wsparcia przez owych „miłośników”. Czy i teraz PTPN ma swoich światłych mecenasów?

– Niestety, nie ma jeszcze ludzi na miarę Cyryla Ratajskiego, niegdyś podskarbiego PTPN, który dokładał ze swoich dochodów. Jak będzie przebiegać jubileusz 150-lecia Towarzystwa?

– Rozpocznie się wraz z nowym rokiem akademickim. Będą wystawy, m.in. zbiorów Muzeum Mielżyńskiego, sesje i wykłady. Chcemy wrócić do tradycji Wszechnicy Piastowskiej a więc wykładów naszych uczonych dla wszystkich chętnych. Chodzi nam o upowszechnianie wiedzy - nie tylko o biznesie. Przygotowaniem około 50. referatów zajmą się nasze Komisje i Wydziały. W czasie sesji „Nasi mistrzowie” będziemy bardzo silnie akcentować, że PTPN powstało nie tylko dzięki poznaniakom lecz także Szamotulskiemu Towarzystwu Starożytności i Kasynu Gostyńskiemu. Odbędzie się konferencja międzynarodowa „Towarzystwa regionalne wobec wyzwań współczesności”. Będziemy rozmawiać o sprawach ważnych dla Poznania i Wielkopolski, poruszając np. problem reklamy naszego miasta i regionu. To jest ważne, bo od wielu lat wydawnictwa warszawskie czy krakowskie unikają publikacji o wybitnych poznaniakach czy Wielkopolanach...

Ewa KŁODZIŃSKA



W podróży przez ludzkość i człowieczeństwo

Bill Bryson reprezentuje typ pisarza kiedyś popularny w Polsce, i co ważne – licznie tu występujący. Ten typ to podróżnik o zacięciu socjologicznym, czasami nierozzerwalnie związanym ze swoim zawodem, czasem jednak całkowicie spontanicznym, znanionującym samorodny talent. Wielkopolska miała również swoich podróżników-socjologów z nieodżałowanej pamięci Arkadym Fiedlerem na czele. Jak wiadomo,

z nazwiskiem Fiedlera łączy się dziś jedna z najbardziej prestiżowych polskich nagród przyznawana za dokonania w dziedzinie szeroko pojmowanej literatury podróżniczej. Jeśli kiedyś kapituła Bursztynowego Motyla zechciałaby honorować nie tylko twórców polskich, Bryson znalazłby się z pewnością w czołówce kandydatów do takiego wyróżnienia. Póki co, kontentować się musi Nagrodą Kartezjańską, cenną

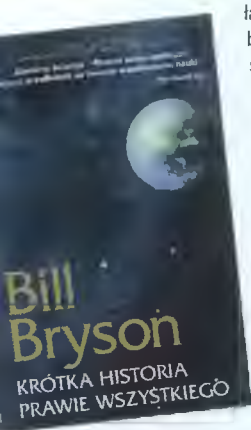
i ważną, przyznaną przez Unię Europejską za wkład w popularyzowanie nauki. Dostrzeżono i wyróżniono książkę, która jest zapisem podróży niezwyklej, bo odbywanej w wymiarze kosmologicznym.

„*Krótką historią prawie wszystkiego*” zawiera na 490 stronach kompendium wiedzy o wszelkich obszarach bytu, w których zaznacza się obecność człowieka, i bez których niemożliwa byłaby historia ludzkości. W wymiarze poznawczym niemal każdy, kto przeczyta książkę Brysona, stanie się posiadaczem wszystkich owoców drzewa wiadomości dobrego i złego, które zakłopotawszy naszych prarodziców, przyniosło im spektakularny upadek, z którego po dziś dzień jeszcze się nie podźwignęliśmy. Nawiazanie do rajskiego drzewa nie jest tu dziełem przypadku; niektóre wieści z „*Krótkiej historii...*” są bowiem niedobre, złe, lub wręcz w panicznym

stopniu niepokojące. I jakkolwiek autor uspokaja nas, że w razie realizacji „czarnego scenariusza” nie czytaliśmy jego książki, nie jest to pociecha, z którą moglibyśmy się położyć spokojnie na spoczynek. Na całe szczęście dobrych wieści jest więcej i w perspektywie rozwoju całej ludzkiej populacji istnieje duże prawdopodobieństwo, że po raz kolejny będziemy mieli szczęście.

„*Krótką historią prawie wszystkiego*” rozpatrywana w kategoriach literackich sytuuje się najbliżej rozprawy XVIII wiecznego sawanta. Rozległa i bynajmniej nie amatorska wiedza autora konkuruje o lepsze z niemałym talentem do syntetycznego a zarazem barwnego ujmowania przedstawianych zagadnień. Bryson jest współczesnym odpowiednikiem d’Alamberta, który działał sam, powołując starannie wyselekcjonowane autorytety na świadków. Ponieważ mamy wiek XXI, czas medialnej globalnej wioski, świadkowie udzielają wywiadów, sam zaś Bryson, niczym doświadczony dziennikarz, podejrzliwie obserwuje ich mimikę, testuje prawdziwość, bada erudycję, podchwytliwie nagabuje o szczegóły, które zna już z innych relacji. Na dnie tej konstrukcji czai się wypróbowany schemat zachowań podróżnika w obcych stronach, który uważnie, ale i krytycznie egzaminuje szaman. A wszystko po to, abyśmy mogli zebrać więcej danych do własnych przemyśleń.

Oprócz wielkich i niezaprzeczalnych walorów poznawczych, książkę Brysona wyróżnia na tle innych wielka uczciwość narracji. Tam gdzie autorowi trudno posunąć się w wywodach dalej, napotyka bowiem gęstą mgłę ignorancji własnej i świata nauki, nigdy nie stara się rozświetlić tej niewiadomej własnymi spekulacjami. Jeśli ma nawet własne koncepcje, odsuwa je na bezpieczną odległość od klawiatury komputera, na którym książkę napisał. Nigdy też, ani razu nie rzuca się w dobroczynne ramiona deizmu i nie zasłania się opiekuńczym skrzydłem demiurga.



Jeżeli nawet trudno wytłumaczyć doskonałość i złożoność świata, niemal krystaliczną jednorodność form żywych inaczej niż poprzez boskie sprawstwo, wyciąganie wniosków pozostawia czytelnikowi, nie pozwalając na żadne wakacje dla naszych umysłów.

„*Krotka historia prawie wszystkiego*”, plon wyteżonej pracy Billa Brysona, urywa się współcześnie, czyli dosłownie wczoraj (książka wydana w USA w roku 2003, przez polskiego wydawcę przygotowana została niemal bezzwłocznie). Jest sprawą oczywistą, iż już jutro, nawet w perspektywie ulotnego, jednostkowego bytu, straci na aktualności. Nieustannie bowiem dokonuje się postęp w przyswajaniu przez ludzką populację nowych wiadomości, rozszerzających horyzont poznawczy i zmieniający sens podstawowych pytań dotyczących istnienia. Nic jednak nie jest w stanie zmienić ani umniejszyć rozległej wiedzy, jaką przynosi Bryson sięgając do podstaw wielu dziedzin nauki, która stara się poznać i zdefiniować miejsce człowieka we wszechświecie, na Ziemi, a także sekrety budowy ludzkiej istoty, genezę powstania myślącej inteligencji i to wszystko, co stanowi treść człowieczeństwa. Uczciwie i pięknie, z poczuciem humoru, które nigdy nie przeradza się w drwinę, Bill Bryson zestawia długą listę pytań, na którą nie ma jeszcze odpowiedzi. I chociaż próby poszukiwania odpowiedzi na niektóre z pytań budzą mimowolny dreszcz, to jednak źródło siły i zniewalającego uroku „*Krótkiej historii...*” tkwi przede wszystkim w tym, że autor uświadamia nam podstawową prawdę zawartą w powszechnie znanym porzekadle: „Kto pyta, nie błądzi”. Zapewne dlatego po zamknięciu dzieła Brysona niedosyt wiedzy każe raz jeszcze przejrzeć uważnie obszerny spis literatury zawarty na końcu. Pora na poszukiwanie odpowiedzi na niektóre spośród pytań. Ilu czytelników, tyle zapewne będzie wytyczonych dróg poszukiwań. Jestem przekonany, że taki właśnie, ukryty zamysł legł u podstaw misji Brysona – wielkiego podróżnika przez ludzkość i człowieczeństwo.

Tomasz DYMACEWSKI

Bill Bryson, *Krotka historia prawie wszystkiego*, ZYSK i S-KA, Poznań 2006.

Ludzie tacy jak my?

Stewart Dubinsky, dziennikarz specjalizujący się w relacjonowaniu rozpraw sądowych przeszedł właśnie na wcześniejszą emeryturę. Zmiana charakteru zajęć, likwidacja części przyzwyczajień, inne tempo codzienności, wszystko to sprawiło, że stanął w obliczu kryzysu. Naturalną kolejną rzeczą rozpadło się też jego mał-

żeństwo, które uważał do tej pory za udane. Dopelnieniem miary nieszcześnie stała się śmierć ojca, znanego i cenionego prawnika, z którym wprawdzie nigdy nie był blisko, szanował go jednak i w skrytości podziwiał.

Porządkując papiery ojca odkrył jego narzeczoną sprzed lat, z okresu II wojny światowej. Związek ten, podobnie jak wiele innych wojennych miłości nie przetrwał długotrwałej rozłąki. Zresztą kapitan David Dubin (syn powrócił do starego rodzowego nazwiska) przywiózł z wojny żonę – żydowską więźniarkę obozu koncentracyjnego, którą pokochał od pierwszego wejrzenia i która była rzeczą jasną matką Stewarta. Toteż rozstanie z Gorią, jej pożegnalny list porządkujący spuściznę ojca przyjął ze spokojem, jako część historii rodziny, o której wprawdzie nie słyszał od żadnego z rodziców, ale która połączyła wydarzenia w logiczny ciąg.

Listy, które David Dubin ślał do Gorii pasowały do obrazu, jaki w myślach Stewarta towarzyszył wojnie i jej amerykańskim bohaterom. Listy potwierdziły też, że Dubin, choć prokurator wojskowy, brał udział w walce, dowodząc kompanią w czasie obrony Bastogne, w samym środku przeciwuderzenia niemieckiego w Ardenach. Listy do Gorii uspakajały i nie mówiły nic o codzienności wojennej. A potem Stewart natrafił na pożegnalny list od narzeczonej ojca, który nim wstrząsnął. Jego ojciec, kapitan Dubin stawał przed sądem wojennym i został skazany prawomocnym wyrokiem na 5 lat ciężkiego więzienia. To upokorzyło syna i kazało mu poprowadzić śledztwo na własną rękę, chciał bowiem poznać prawdę o zbrodni ojca, jakakolwiek by ona nie była. „*Zwyczaj-*



ni bohaterowie" to opowieść o tym właśnie śledztwie i o jego nieoczekiwanym zakończeniu. Jest to także opowieść o strasznych czasach, w których zabrakło miejsca dla ludzi zwyczajnych, dla takich jak my.

Scott Turow to uznana marka na amerykańskim rynku literackim. Syn lekarza, który walczył w II wojnie światowej na froncie europejskim (był też w Ardenach) obrął karierę prawniczą, ma jednak w swojej biografii także epizod akademicki w Stanford, gdzie uczył się między innymi kreatywnego pisania. Jego literacki debiut „Uznany za niewinnego” stał się bestsellerem literackim i przebojem kinowym. Kolejne książki ugruntowały pozycję pisarską Turowa wraz z klasyfikacją do grupy autorów kryminalów prawniczych. To pewne uproszczenie, bowiem „Zwyczajni bohaterowie” są przede wszystkim psychologiczną opowieścią o wojnie, a ściślej o spustoszeniu, jakie wywarła w psychice ludzi po obu stronach frontu. To był czas okaleczonych, nie tylko w dosłownym, fizycznym rozumieniu tego słowa. Ludzie tacy jak my przestawali być sobą. Stawali się organizmami przystosowanymi do tego, aby zabijać po to, by samemu przeżyć.

Wojna ukazana jako trauma pokolenia występuje w literaturze wszystkich chyba narodów, którym dane było jej strasliwego kataklizmu doświadczyć. Amerykanie nie są tu bynajmniej wyjątkiem, choć ich dzieje inaczej rozłożyły owe traumatyczne akcenty niż na przykład Polaków, którzy mają ich zresztą o wiele więcej. Ameryka silnie przeżywa wciąż koszmar wojny secesyjnej i co nie powinno dziwić – Wietnamu. Drugą wojnę światową postrzega się natomiast jako powód do dumy, spełnienie patriotycznego obowiązku. Nie czas i miejsce na opisywanie okrucieństwa bitwy i bezsensu niepotrzebnej śmierci. Obowiązuje wizerunek Amerykanina świadomego swojej roli na polu bitwy, ze sporą dozą humoru odnoszącego się do własnych doświadczeń, tworzącego w każdym miejscu i we wszystkich okolicznościach namiastkę domu. Ceniącego braterstwo broni, także poprawnego rasowo. Turow zrywa w swojej powieści z takim mitem. Ludzie przede wszystkim boją się, walczą niepewni swego, zwłaszcza przeciw Niemcom, którzy przecież nie napadli na Pearl Harbour i nie są ludźmi niższymi rasowo. Wiedzą o końcu wspólnego frontu aliantów, pełni obaw odpędzają od siebie

wizerunek III wojny światowej. Nie mają zaufania do dowódców ani własnych, ani tym bardziej brytyjskich. Nie ufają też ani swoim żonom, ani dziewczynom, które zostały w domu. I nie będą umieli przez wiele lat, może nigdy, opowiadać swoim dzieciom o tym, czego doświadczyli. Taką jest właśnie rzeczywistość ukazana przez Turowa, rzeczywistość, w której nawet obrazy takie jak „Szeregowiec Ryan” mogą być tylko patriotyczną propagandą. W tym kontekście narracja „Zwyczajnych bohaterów” to wysokiej próby demonstracja antywojenna. Demonstracja, która przekonuje i o wojnie każe myśleć ze wstrętem i obawą.

David Dubin po pierwszych doświadczeniach na prawdziwym polu bitwy wie jedno; przenigdy nie chce na nie wrócić. Wypełnienie prokuratorskich powinności wydaje się jedyną alternatywą aby nie mierzyć się z własnym strachem. Dubin ściga człowieka, którego ceni, z którym ramię w ramię walczył, z którym rywalizuje o uczucie kobiety. Stara się wypełnić zadanie, od którego nie sposób się uchylić. Sprzeniewierzenie się tej misji równa się odmowie wypełnienia rozkazu, choć jest to rozkaz, z którym polemizuje zarówno moralność Dubina, jak i jego prawnicze wykształcenie. Decyzja, którą w końcu podejmuje, decyzja prowadząca go przed sąd wojenny to jeden z nielicznych w opowieści Turowa dowodów na to, że istnieją wartości, których żadna, nawet najbardziej okrutna wojna nie przekreśli. Paradoks sprowadza się do tego, że Dubin, przez szereg lat po wojnie uznawany za znakomitego bezstronnego prawnika, żyje w zakładaniu nie tylko wobec opinii publicznej, ale także własnych dzieci. Podobnie jak jego żona, jedyna osoba, która zna tajemnicę i wiernie jej dochowa, aż do własnej śmierci.

„Zwyczajni bohaterowie” to opowieść o przeciętnej amerykańskiej rodzinie, która stara się pogrzebać przeszłość. Głęboko i na zawsze. Czy to postawa słuszna? Czytelnik ma prawo sam decydować. Tak postanawia autor książki pięknej, mądrej, a przecież także sensacyjnej, trzymającej do ostatniej strony w napięciu. Jednej z tych książek, które trzeba koniecznie przeczytać, także i po to, aby poznać siebie samego.

Tomasz DYMACZEWSKI

Scott Turow, *Zwyczajni bohaterowie*, Rebis, Poznań 2006

Word Press Photo 2005

Groza bardziej fotogeniczna?

Prawie 4500 fotografików ze 122 krajów, ponad 83 000 zdjęć i miliony zwiedzających na całym świecie – tak wygląda w liczbach wystawa Word Press Photo 2005. Już trzy dni po amsterdamskiej premierze najlepsze z nadesłanych prac można było oglądać w Centrum Kultury „Zamek” w Poznaniu. Bo po raz kolejny to właśnie stolica Wielkopolski była miejscem polskiej premiery tej wystawy.

W Holu Wielkim „Zamku” można było poznać 200 najlepszych prac w 10 kategoriach. Wśród nich był także polski akcent: znany fotografik Tomasz Gudzuwaty zajął trzecie miejsce w kategorii „Osobliwości sportu” – jego zdjęcie przedstawia tradycyjne zapasy uprawiane w Indiach. Najlepszą pracą według jurorów okazała się fotografia przedstawiająca matkę z dzieckiem, która została zrobiona w obozie dla ofiar głodu w Tahoua w Nigrze. Jej autorem jest kanadyjski fotoreporter Finbarr O'Reilly. I trzeba przyznać, że to jedna z lepszych prac prezentowanych na tej wystawie: zdjęcie jest po prostu doskonałe w formie i treści, oszczędne i niezwykle wyraziste w kompozycji, proste – a jednocześnie perfekcyjnie wyrażające to, co niewyrażalne: ból, strach, rozpacz i straszne w tym wydaniu piękno macierzyństwa...

Jednak znów jak co roku wśród nadesłanych prac dominowały te przedstawiające

gorszą stronę życia na ziemi: trzęsienia ziemi, huragany i powodzie, ataki terrorystyczne. Groza, przerażenie i

krew dosłownie atakowały oglądających ze wszystkich ścian. Nic dziwnego: były tam fotorelacje z przejścia huraganu Katrina i trzęsienia ziemi w Kaszmirze, a także zdjęcia przedstawiające atak terrorystyczny w londyńskim metrze. I to one zdominowały ekspozycję. Jednak zastanawia fakt, że po raz kolejny mistrzom obrazu z całego świata zabrakło inwencji, by pokazać także coś pozytywnego – bo jednak od czasu do czasu to się zdarza nawet na naszym opanowanym przez koszmary świecie... Złośliwa odpowiedź nasuwa się sama: znacznie łatwiej znaleźć i sfotografować grozę, nieszczęście czy strach – szczęście wymaga pewnych przygotowań i umiejętności. Poza tym negatywne emocje ze względu na tkwiący w nich ładunek emocjonalny po prostu sprzedają się znacznie lepiej niż kliwne fotografie szczęśliwych matek... Ale należy pamiętać, że jest to konkurs najlepszej fotografii prasowej – a ona, niestety, jest właśnie taka...

(el)

fot. David Robert Swanson AP, erchuwum



Rocznica pierwszego buntu PRL

To był taki mały Stalingrad

50 lat. Rocznicą. Powstanie, niepodległościowy zryw czy może bunt przeciw władzy ludowej. Nieważne jak to nazwać. Ważne, że ludzie wyszli na ulice by walczyć o lepsze dziś i lepsze jutro. W ich imię ginęli na Kochanowskiego i byli torturowani w ośrodku filtracyjnym na Ławicy czy w ubeckich siedzibach. Szykanowani przez lata nie dostali chleba, którego pragnęli dla swych dzieci. Jednak to oni pierwsi w Ludowej Polsce pokazali jak niewiele ma do powiedzenia ów lud.

Gdy z Ceglorza wyszli na ulice poszedł za nimi tłum. Na Placu Stalina – dziś A. Mickiewicza – domagali się pracy. Chcieli sprawiedliwości. Nie dążyli do konfrontacji. Nie chcieli, by połała się krew. Iskrę wywołała informacja o rzekomym aresztowaniu delegacji Ceglorza. Zaczął się bunt. Było więzienie na Młyńskiej, rozbrajane posterunki policji, zwalenie masztu zagłuszającego audycję radia Wolna Europa. Były ofiary. Dużo ofiar. Był marsz z okrwawioną flagą na tereny targów. Przeciw robotnikom władza rzuciła kilka dywizji wojska. Czołgi wjechały na ulice. Miasto było oblężone.

Jest 28 czerwca 1956 roku. Godzina 10.30. gabinet komendanta poznańskiej szkoły oficerskiej...

– *Obywatelu pułkowniku* – adiutant staje w drzwiach wyprężony jak struna – *Dzwoni towarzysz sekretarz Stasiak. Prosi o wsparcie.*

Pułkownik Antoni Filipowicz usłyszał to tego dnia nie po raz pierwszy. Już w godzinach rannych jadąc do jednostki obserwował początek zajść na poznańskich ulicach. O 9.00 pierwszy raz poproszono go o stawienie się w Wojewódzkim Urzędzie Bezpieczeństwa.

Odbicie sekretarza

– *Zarówno UB jak i I sekretarz KW PZPR towarzysz Stasiak usilnie prosili o pomoc wojska i skierowanie czołgów przeciw prowokatorom, gdyż sytuacja z każdą chwilą się zaostrzała. (...) Postanowiłem zameldować o powyższej sytuacji przez W.Cz. dowódcy Śląskiego Okręgu Wojskowego i Dowódcy Wojsk Pancernych. Połączenia z nimi nie otrzymałem Odpowiedział tylko*

szef Głównego Zarządu Politycznego generał Witaszewski, od którego otrzymałem wytyczne, aby nie włączać wojska do tej akcji aż do otrzymania rozkazu ministra. W drodze powrotnej z UB dostałem łącznika w postaci oficera UB.

Stasiak nalegał. Komendant odmawiał kilkakrotnie. Przed 11.00 telefon zadzwonił ponownie.

– *Tym razem sekretarz żądał przysłania grupy żołnierzy i samochodów pancernych do zakładów ZISPO (HCP) w celu przewiezienia go na lotnisko. Powoływał się przy tym na rozmowę z premierem Cyrankiewiczem i poparcie towarzysza Ochaba. Twierdził, że na Biurze Politycznym zapadła decyzja użycia wojska przeciwko zbrojnym prowokatorom. Nie mając połączenia z dowództwem wysłałem dwa BTR i 18 żołnierzy celem przewiezienia tow. Stasiaka.*

Czołgi w akcji

W tym samym czasie, gdy wozy bojowe jechały po pierwszego sekretarza, w szkole zapadła decyzja o wyprowadzeniu wojska na ulice. Przygotowany wcześniej plan zakładał ochronę najważniejszych obiektów. Żołnierze otrzymali rozkaz nie używania broni. Czołgi jechały bez amunicji. Tymczasem tłum wokół UB przy Kochanowskiego wciąż gęstniał. Doszło do regularnej strzelaniny.

– *Prowokatorzy wykorzystując sytuację siłą zatrzymywali samochody z podchorążymi na ulicy Kochanowskiego oraz zablokowali ulicę Dąbrowskiego dla czołgów. Były próby terroryzowania załóg przez wywazanie włazów łomami i obrzucania ich butelkami z benzyną. Doszło do podpalenia 9 czołgów i zniszczenia 3 samochodów ciężarowych przy Wojewódzkim Urzędzie Bezpieczeństwa.*

Bordziłowski mówi strzelać

Z raportu generała Strażewskiego do ministra Rokossowskiego – O 12.30 w sukurs wysłanym żołnierzom ze szkoły jadą kolejne 4 czołgi i dwa plutony podchorążych. ich los jest podobny. Wyskakujący z pod-

palonego czołgu por. Klimczak zostaje ciężko ranny. kpt. Grad ma rozbity głowę, kpt. Dobrzański jest poparzony. Czołg nr taktyczny 264 pali się 4 razy, czołgi 205 i 245 po trzy razy. Inne podobnie. Od grupy żołnierzy odstępują Prokopczuk i Niekłań przechodząc na stronę bandytów. Są i inni.

Uniknąć wyroku

Zastępca dowódcy Śląskiego Okręgu Wojskowego płk Wojtowicz do Szefa Głównego Zarządu Politycznego generała Witaszewskiego – Na pochwałę zasługuje postawa porucznika C., którego wyciągnięto z czołgu, rozbrojono i chciano rozstrzelać. Postawionemu pod ścianą pewien osobnik odczytał wyrok nazywając siebie „generalnym prokuratorem rewolucyjnego rządu”. Porucznika ocalił jeden z robotników, który umożliwił mu ucieczkę. Następnego dnia porucznik wskazał owego „prokuratora” i oddał go w ręce bezpieczeństwa. Był to mąż pracownicy Szkoły Oficerskiej. (IV.502.2/A/109)

– *Nadal próbowałem się połączyć z dowództwem. bezskutecznie* – pisze w raporcie pułkownik Filipowicz – *Uzyskałem natomiast połączenie z szefem Głównego Zarządu Informacji, który skierował mnie do wiceministra Popławskiego. Wobec jego nieobecności skontaktowałem się z szefem sztabu generałem Bordziłowskim od którego otrzymałem około godziny 13.00 rozkaz okazania pomocy przez wojsko i użycia broni przeciw prowokatorom..*

Wezwany na lotnisko

Okolo godziny 14.00 na lotnisku Ławica wylądował samolot rządowy z premierem Cyrankiewiczem i generałem Popławskim na pokładzie. Witai ich pierwszy sekretarz KW Stasiak ochraniany przez podchorążych ze Szkoły Oficerskiej. Na lotnisko wezwano komendanta szkoły.

Po zameldowaniu na lotnisku Ławica i zdaniu relacji generałowi Popławskiemu usłyszałem, że jestem osobiście odpowiedzialny za utrzymanie Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa, gdzie toczyły się najcięższe walki.

Mały Stalingrad

Dowódca Śląskiego Okręgu Wojskowego Wsiewołod Strażewski do marszałka Rokossowskiego – *Nasze oddziały które wkroczyły do Poznania wykazały zupełny brak przygotowania do walk ulicznych. Do pojedynczych prowokatorów prowadzono masowy i niecelny ogień całymi grupami żołnierzy. Wykorzystując swoje własne doświadczenie z walk ulicznych w Stalingradzie zebrałem wszystkich dowódców pułków i rozkazałem stworzyć specjalne grupy do likwidacji gniazd ogniowych i oczyszczania domów z prowokatorów. Grupy te dzieliły się na dwie podgrupy, z których jedna obstawiała wejścia i wyjścia, a druga zajmowała się likwidacją wykrytych prowokatorów.*

Na odsiecz UB

W czasie gdy Filipowicz zdawał relację zwierzchnikowi, w Poznaniu było już kolejnych 13 czołgów i trzeci rocznik podchorążych ściągniętych przez komendanta z Biedruska. W tym samym mniej więcej czasie osłaniany przez szkołę wóz pancerny dostarczył amunicję do Urzędu Bezpieczeństwa. Do miasta wkraczały pospiesznie ściągnięte inne oddziały wojskowe.

– *Po otrzymaniu rozkazu od generała Popławskiego stworzyłem ze swojej rezerwy grupę bojową w składzie 8 czołgów i 120 ludzi, którą dodatkowo skierowałem do ochrony Urzędu Bezpieczeństwa. Działając z wcześniej wydzieloną grupą 8 czołgów napotkała na silny opór. Tłumy rzuciły się na czołgi, zrywały anteny, reflektory, sygnały, błotniki. W walce tej zginęło trzech cywilów. Dwóch podchorążych zostało rannych (jeden z nich podchorąży Ficek zmarł później w szpitalu – przyp. red.)*

Generał Strażewski do ministra Rokossowskiego – *Pilne – Komendant OSWP po otrzymaniu meldunku o zaistniałej sytuacji od prowadzącego grupę majora M. osobiście czołgiem wyjechał na Kochanowskiego. Napotkał tu opór dwóch czołgów przejętych przez prowokatorów. Ich załogi zostały przepędzone. Czołgi odzyskano. Jeden z cywilów zginął. O 17.30 Urząd został zabezpieczony.*

To z pewnością były najgorętsze godziny z życia poznańskiej Szkoły Oficerskiej.

Krzysztof SMURA

Powyższa relacja oparta jest w całości na dokumentach znajdujących się w archiwach Akademii Narodowej MON

Niekończąca się gra

461 spektakli, 50 tysięcy widzów, 11 lat na scenie, nagroda główna na Festiwalu Sztuk Przyjemnych w Łodzi, tytuł Najprzyjemniejszego Aktora dla Mirosława Kropielnickiego. W czym tkwi tajemnica sukcesu spektaklu „Zagraj to jeszcze raz, Sam”?

„Pegaz” rozmawia z Mirosławem Kropielnickim, odtwórcą głównej roli.

Spektakl „Zagraj to jeszcze raz, Sam” miał swoją premierę w Teatrze Nowym w 1995 roku, a więc 11 lat temu. Grany jest za każdym razem przy pełnej widowni... W czym tkwi jego sukces? Jaka jest jego „tajemnica”?

– Rzeczywiście jest to wydarzenie niezwykle w kontekście wszystkich spektakli teatralnych w całej Polsce. Oczywiście zdarzają się takie rekordy, ale w dziedzinie przedstawień muzycznych. W teatrze dramatycznym jest to rzadkość, jeśli nie jedyne przedstawienie, które ma taką liczbę zagranych przedstawień i tyle sezonów. W czym tkwi sukces? Sam się nad tym zastanawiałem, bo do tej pory mamy komplecik widowni na tym spektaklu. Myślę, że po pierwsze jest to bardzo dobrze wyreżyserowane przedstawienie. Jest to spektakl świetnie „skrojony”, jak mawiają aktorzy. Temat jest „trafiony w dziesiątkę” bowiem problematykę relacji męsko-damskich, która jest zawsze aktualna, podano dowcipnie, lekko. Przede wszystkim, jak to przy komediach Woody’ego Allen’a, jest to mądry tekst, z charakterem, inteligentki. W samej realizacji opiera się na aktorach, sytuacje nie są skomplikowane, mamy sześciu aktorów grających ciekawie i prawdopodobnie. Myślę, że to są źródła sukcesu: dobre aktorstwo, dobry tekst, dobra reżyseria czyli te elementy, które gdy się spotkają w jednym punkcie, zawsze stwarzają dobre przedstawienie.

Rozwijając jeszcze wątek sukcesu spektaklu można powiedzieć, że wychodzi naprzeciw zapotrzebowaniu na spektakle lekkie, na komedie. Ludzie mają dosyć szarej codzienności i powszednich problemów, tym chętniej przychodzą do teatru na rzecz dowcipną, na coś o nich, co ich dotyczy bezpośrednio. Ten spektakl jest o każdym z nas. Każdemu zdarzają się takie chwile, każdy bywa nieporadny

w życiu, w relacjach damsko-męskich, jest to więc jak najbardziej temat bliski ludziom. Tu upatruję źródeł tak dużego sukcesu tego konkretnego przedstawienia. Wreszcie biorąc pod uwagę względy marketingowe – spektakl miał bardzo dobrą premierę, a to dało z kolei dobrą reklamę. Było wręcz w dobrym tonie pojawić się na Woody’m Allen’ie. Są ludzie, którzy byli kilkakrotnie na spektaklu, teraz przychodzi już kolejne pokolenie...

Jak to jest grać przez tyle lat tą samą rolę? Czy nie robi się to po pewnym czasie nudne? Nie popada się w rutynę?

– Nudne? Nie. Mimo 11 lat grania nie było takiego samego przedstawienia. Każdy spektakl jest inny ze względu na to, że w innym jesteśmy nastroju, inna jest widownia, gramy razem z tą widownią, słuchamy jej dokładnie. Po paru kwestiach już doskonale wiemy, kto jest dziś widzem. Są różne żarty, słyszymy na jakie ludzie reagują a na jakie nie reagują...

Poza tym było parę zastępstw, nowe osoby zawsze coś wnoszą. Mamy też próby wznowieniowe, przypomnieniowe. Nie gramy też aż tak często jak kiedyś. Teraz po miesiącu wraca się do tej roli z przyjemnością. Poza tym jest tak, że jeśli aktor lubi przedstawienie, bawi się nim. Osobiście lubię poczucie humoru Woody’ego Allen’a, czuję się więc bardzo dobrze w tej roli. Przez tyle lat grania bohater – Allan Felix jest już we mnie, lubię tę postać, przyjemnie się ją gra.

Mówiłem już wcześniej o zastępstwach, o zmianach w obsadzie, a przecież sam spektakl też jest modyfikowany. Niektóre kwestie nawet musieliśmy zmienić. Jest taka jedna puenta, w której mój przyjaciel Dick mówi do mnie „Allan, weź się w garść, jesteś młody, możesz zacząć wszystko od nowa”. W tekście oryginalnym odpowiada „Młody? Przecież ja mam 29 lat, szczyt potencji miałem 11 lat temu”. Musiałem to już zmienić. Teraz mówię: „Młody? Przecież ja mam 39 lat, szczyt potencji miałem 21 lat temu”. Doszło do tego, że musimy czasem lekko korygować tekst, bo już na 29 lat nie wyglądamy. Są to jednak symptyczne zmiany, jest nam miło, że ludzie nadal chodzą na ten spektakl.



Czy jest Pan w stanie przewidzieć jak długo jeszcze będziecie wystawiać „Zagraj to jeszcze raz, Sam”?

– Kiedy zagraliśmy 200 przedstawień – myśleliśmy, że zastopujemy na 250, gdy „stuknęło” 250 – to, że na 300... Teraz myślimy, że do 500 spektakli dogramy na pewno, a to przypada w rozpoczynającym się teraz sezonie. Co dalej? Nie wiem, trudno powiedzieć. Decyzja należy do dyrekcji, a w jakimś stopniu i do widowni. Jeśli widownia będzie nadal dopisywać, byłoby harakiri dla teatru ściąganie z afisza przedstawienia, które ma taką oglądalność.

Czy widzi Pan jakiegoś następcę tego spektaklu, przedstawienie, które równie długo się utrzyma, będzie się cieszyło podobną popularnością?

– Tego nigdy nie wiadomo. Gdy robiliśmy Woody’ego Allen’a nie przypuszczaliśmy po 50 przedstawieniach czy nawet 100, że zagramy je prawie 500 razy.. Aktualnie wśród rekordzistów jest spektakl „Piękna Lucynda”, grany nawet rok dłużej niż „Zagraj to jeszcze raz, Sam”, był też „Lot nad kukułczym gniazdem”... Z nowych przedstawień to „Faust”, który ma zadatki na to, aby być bardzo długo w repertuarze. Zawsze to jednak wielka niewiadoma, każda premiera może przynieść spektakularny sukces, i oby takich hitów jak „Zagraj to jeszcze raz, Sam” było jak najwięcej. Dziękuję bardzo za rozmowę.

Maria MARKIEWICZ

Zdjęcia arch. Teatru Nowego

Szkoła z szachownicą w głowie

Wyższa Szkoła Umiejętności Społecznych w Poznaniu, doceniając walory szachów, niemal od początku istnienia osadziła je w orbicie swoich zainteresowań. Uznano, że szachy propagują szereg podstawowych wartości przekazywanych studentom Uczelni. Ich zgłębianiu i doskonaleniu przez uczelnią społeczność służy między innymi współpraca WSUS z Wielkopolskim Związkiem Szachowym.



Współpraca została nawiązana przed kilku laty i początkowo wyrażała się głównie w fakcie współorganizowania Międzynarodowego Festiwalu Szachowego, sztandarowej imprezy szachowej

rozgrywanej na terenie Wielkopolski. Przedstawiciele WSUS już od kilku lat biorą udział w organizacji Festiwalu, a turniej rozgrywany jest w gościnnych pomieszczeniach Szkoły, której Rektor i kierownictwo od szeregu lat sprzyja szachom i szachistom.

Tegoroczny XV MFS także (już po raz piąty) został rozegrany w siedzibie Wyższej Szkoły Umiejętności Społecznych w dniach 22-30 lipca. Przewodniczącym Komitetu Organizacyjnego oraz sędzią głównym był prezes Wielkopolskiego Związku Szachowego, zarazem prezes Polskiego Związku Szachowego, Janusz Woda. W organizacji i przeprowadzeniu imprezy czynny udział brali przedstawiciele Wielkopolskiego Związku Szachowego, Wyższej Szkoły Umiejętności Społecznych, Ośrodka Szkolno-Wychowawczego dla Nieśłyszących w Poznaniu oraz dwóch poznańskich klubów szachowych KS Lech-WSUS i UMKS „Na Pięterku”.

Tak. Nie ma tu żadnej pomyłki. Dwa sezony temu WSUS objęła patronat na występującym wówczas w II lidze zespołem Błękitnego Expressu Lech i obecnie pochwalić się może własną drużyną szachową. Już pod nazwą KS Lech-WSUS

w poprzednim sezonie zespół w imponującym stylu wywalczył awans do I ligi, a w niedawno rozpoczętym sezonie ma już za sobą pierwszy turniej mistrzowski, który odbył się w dniach 1-10 września w Opolu.

Zdaniem Janusza Wody – KS Lech-WSUS na awans do ekstraklasy, czyli do druginowej elity polskich szachów musi jeszcze poczekać, w gronie I-ligowców powinien się jednak utrzymać bez problemów. Mimo bowiem systematycznych postępów czynionych przez reprezentantów klubu awans już teraz byłby sporą, chociaż oczywiście przyjemną niespodzianką.

Aktualnie sekcja liczy około 30 członków i oprócz I-ligowej drużyny seniorów klub ma także II-ligową drużynę juniorów. Warto podkreślić, że sekcja będzie poszerzana, między innymi przez studentów Uczelni. To efekt promowania szachów przez Szkołę, faktu, że studenci mają możliwość bezpośredniego kontaktu z zawodnikami oraz prowadzonej od pewnego czasu nauki gry w szachy wśród młodzieży akademickiej. Zarazem to także dowód, że przekazywane przez Szkołę wartości trafiają do studentów. Rzecz jasna, dla Uczelni ważne także sukcesy sportowe reprezentantów KS Lech-WSUS.

I tak w finale tegorocznych mistrzostw Polski kobiet, w gronie 14 najlepszych szachistek kraju startowała najmłodsza spośród nich Agata Sikorska, nie zdobywając wprawdzie medalu, ale notując kilka wartościowych rezultatów. Osiemnastolatka z Lech - WSUS startowała także w finale MP do lat 20 i nawet w nich musiała się zmagać ze starszymi od siebie, bardziej doświadczonymi rywalkami.

Agata Sikorska należy oczywiście do czołowych zawodniczek KS Lech-WSUS, a oprócz niej do najlepszych zaliczyć można Dariusza Kaszowskiego, Pawła Piechotę, jego siostrę Izabelę oraz siostrę Agaty Sikorskiej – Dorotę. Dodajmy, że członkiem KS Lech-WSUS jest także jeden z najbardziej zasłużonych trenerów szachowych, niegdyś zresztą znakomity zawodnik – Ryszard Bernard.

Po tej dygresji wróćmy jednak do XV MFS, w którym przedstawiciele KS Lech-WSUS spisali się bardzo dobrze notując wartościowe osiągnięcia. W imprezie, nad



którą patronat objęli poseł na Sejm RP dr Dariusz Lipiński oraz Rektor WSUS prof. dr hab. Michał Iwaszkiewicz, a dotacje na potrzeby organizacji turnieju przekazane zostały przez Urząd Miasta Poznania, Wyższą Szkołę Umiejętności Społecznych, Urząd Marszałkowski Województwa Wielkopolskiego, Aquanet S.A. w Poznaniu oraz Polski Związek Szachowy (Skoda Auto Polska ufundowała nagrody i upominki rzeczowe) wzięło udział 168 zawodników i zawodniczek rywalizujących w 5 grupach turniejowych. – open A, open B, C-15, CD-12 oraz CD-9. Uczestnicy nagrodzeni zostali w 10 kategoriach (9 indywidualnych – odrębnie dla kobiet , mężczyzn, dziewcząt i chłopców w każdym z turniejów oraz jednej drużynowej Uczniowskich Klubów Sportowych.

Turniej główny OPEN A będący zarazem otwartymi mistrzostwami Wielkopolski seniorów zgromadził 40 zawodników. Zwyciężył Marcin Szeląg (KS Pocztovec Poznań) wyprzedzając wspomnianego już Dariusz Kaszowskiego (KS Lech-WSUS Poznań) oraz swego klubowego kolegę Wojciecha Przybylskiego. Wszyscy zdobyli w IX partiach po 6,5 pkt., a o kolejności zdecydował ranking pomocniczy. Tuż za podium, na czwartej pozycji, uplasował się najlepszy z zawodników ukraińskich Vitali Kozia – 6 pkt. Kolejny z szachistów KS Lech-WSUS – Michał Więclaw – z dorobkiem 5,5 pkt zamknął czołową dziesiątkę. Niespodzianką było dopiero 9 miejsce głównego faworyta, legitymującego się najwyższym rankingiem FIDE (Międzynarodowa Federacja Szachowa) Vadima Shishkina z Ukrainy, który podobnie jak Więclaw oraz jedenasty w końcowej klasyfikacji Krzysztof Zapolski (PTSz. Płock) – zdobył 5,5 pkt. Na miejscu dwunastym – jako najlepszy z zawodników Kadry Wojska Pol-

skiego ukończył rywalizację Mateusz Sypien – 5,0 pkt. (dla wojskowych turniej stanowił eliminację do reprezentacji Polski na drużynowe mistrzostwa NATO w Londynie podczas których reprezentanci naszego kraju zdobyli srebrny medal). Warto też dodać, że jedyna kobieta w stawce, Marlena Chlost z Pocztownca Poznań zajęła 25 lokatę. Zdobyła 4,0 pkt. i wyprzedziła 15 mężczyzn.

Drugi pod względem rangi turniej OPEN B (maksymalny ranking 2000 pkt.) wygrał zaledwie 16-letni Paweł Piechota (KS Lech-WSUS). To duży sukces młodego szachisty, który z dorobkiem 8,0 pkt. w IX partiach w pokonanym polu pozostawił aż 90 rywali. Drugie miejsce zajął Dawid Bajerlejn (KS Pocztovec Poznań), a trzecie Zbigniew Glatty (KS Raszyn Poznań) – obaj 7,5 pkt. W czołowej dziesiątce uplasował się jeszcze jeden przedstawiciel KS Lech-WSUS Poznań Jan Purzycki, który uzyskał 6,5 pkt i został sklasyfikowany na szóstej pozycji. O krok od podium była najlepsza z kobiet Aleksandra Walas (Wielka Pieniawa Polanica), która z dorobkiem 6,5 pkt. uplasowała się na bardzo dobrym, choć dla sportowca najbardziej pechowym, czwartym miejscu. Z kolei najlepsza z Wielkopolanek – Katarzyna Huchwajda (KS Pocztovec Poznań) musiała się zadowolić 23 lokatą.

W uroczystości otwarcia i zakończenia imprezy uczestniczył Rektor Wyższej Szkoły Umiejętności Społecznych prof. dr hab. Michał Iwaszkiewicz, w trakcie zawodów imprezę obserwowali w różnych terminach m. in. poseł Dariusz Lipiński, członkowie Zarządu i komisji PZ Szach obradujący we WSUS dnia 23 lipca 2006 roku oraz delegat Ministerstwa Obrony Narodowej mjr Paweł Skrzeczkowski, który uhonorował najlepszych w Festiwalu członków kadry WP.

Szósty już Festiwal organizowany w siedzibie WSUS po raz kolejny udowodnił, że mariaż uczelni wyższej z szachami to naprawdę dobry pomysł, a same szachy to nie tylko emocjonująca dyscyplina sportowa, ale i niezwykle pozytywne ćwiczenie umysłowe, prosta i skuteczna droga do kształtowania swego umysłu i rozwijania własnej osobowości.

Krzysztof MACIEJEWSKI

Fot. J. Balczy

Mistrz i Maciej

Witrynę cukierni Jana i Aliny Kachlickich grodziszczanie nazywają niekonwencjonalną galerią słodkich kompozycji. Prezentowane w niej instalacje plastyczne – wymodelowane w czekoladzie i karmelu – są plastycznym odbiciem wydarzeń z życia lokalnej społeczności.

W prywatnej kronice właściciela cukierni znajdują się fotografie wystaw, które ilustrowały, m.in.: wejście Polski do NATO i Unii Europejskiej, pielgrzymki Jana Pawła II do Polski, wybory prezydenckie, jubileusz 700-lecia powstania miasta. Wszystkie prace są dziełem rąk mistrza Jana i jego ucznia Macieja Pięty.

Jan Kachlicki [właściciel cukierni, mistrz cukiernik]: – *To mój dziadek zapoczątkował naszą słodką dynastię. Schedę po nim objął mój ojciec – Feliks Kachlicki. Teraz – wspólnie żoną Aliną – ja kontynuuję rodzinną profesję. Kiedy terminowałem u ojca stosowaliśmy zupełnie inne technologie, inne były możliwości produkcji wypieków. Wiele komponentów trzeba było kupować za „twardą walutę” w Pewexie, np. brzoskwinie w puszkach (pauzuje, przeciera okulary). Dziś dzwonię do hurtowników, a oni dostarczają mi: ekologiczne barwniki, opłatki dekoracyjne, rozmaite gatunki czekolady. Słowem: możemy zaproponować klientom zdrowe i estetycznie wykonane wypieki.*

Maciej Pięta [czeladnik, uczeń mistrza Jana]: – *Od dziecka marzyłem o ciekawej pracy. Najbardziej podobało mi się w cukierni. Po podstawówce postanowiłem, że będę uczył się u mistrza Jana. Zauważyłem, że mój nauczyciel po obiedzie znika na długie godziny w jednym z pomieszczeń. Bardzo byłem ciekawy, co on tam robi? Wkrótce dowiedziałem się, że modeluje w czekoladzie i karmelu zabytkowe obiekty, figury, i elementy zdobiące wypieki.*

J. Kachlicki: – *Dokładnie nie potrafię powiedzieć, kiedy powstała pierwsza praca... Zawsze lubiłem rysować, oglądać albumy z reprodukcjami. Po pracy pędziłem do tutejszego domu kultury, do którego schodziła się młodzież z całego miasta i okolicy. Dołączyłem nawet do rockowego zespołu „Tukany”. Liderem grupy był Andrzej Niczperowicz; dziś pracuje jako dziennikarz w „Gazecie Poznańskiej”. (uśmiecha się*



Hanka Bielicka: – *Jestem bardzo wzruszona i dziękuję.*

i rozbawiony dodaje): – *Stonsów słucham na „pełen gaz”... Zrozumiałem, że człowiek musi mieć jakąś pasję. To wówczas zaczęły powstawać pierwsze prace w nietypowym materiale – w czekoladzie i karmelu.*

M. Pięta: – *Szybko wyuczyłem się wypiekać pączki, placki i torty... Któregoś dnia zwierzyłem się mistrzowi: – Chciałbym również rzeźbić! Pierwsze próby były bardzo bolesne. Karmel nadaje się do modelowania w temperaturze około 65-70 stopni.*

– *Spójrzcie (pokazuje dłonie), palce mam czerwone; na początku pojawiały się na nich bąble. Którego to stopnia poparzenie? Nie wiem! Nie ważne! Po pracy smaruję ręce kremem i przechodzi. Skóra już się uodporniła! Dzieła (mruga porozumiewawczo) – powstają w bólach! Na wystawę trafiają najlepsze prace.*

Eugenia Woźniczka [emerytowana nauczycielka plastyki]: – *Bardzo często przychodziłam z klasami pod okno cukierni pana Kachlickiego, żeby pokazać dzieciom misternie wykonane słodkie kompozycje. Takie poglądowe zajęcia zawsze podobały się uczniom. Rozmawiałam również z dziećmi o zaletach cierpliwości i dokładności.*

Józef Wasielewski [plastyk]: – *Oglądam każdą wystawę w witrynie Jana Kachlickiego. Podziwiam kunszt prezentowanych prac. Kiedyś jeden z dziennikarzy lokalnej prasy, piszący o sukcesach Macieja Pięty na międzynarodowych zawodach cukierników-rzeźbiarzy, zapytał mnie: – Czy prace te można zakwalifikować do dzieł sztuki? Uznałem, że tak! W rękach zdolnych i wrażliwych rzemieślników powstają arcy-*

działa. Niekiedy prace Jana i Macieja mocno osadzone są we wzorach secesyjnych. To żaden kicz, żadna odpustowa twórczość. Żal tylko, że dzieła te bezpowrotnie znikają w ustach lasuchów.

Hanna Bienkiewicz [mieszkanca Grodziska]: – Bardzo często przechodzę obok cukierni pana Kachlickiego, przystaję na moment, spoglądam w okno. Te śliczne słodkie rzeźby przypominają mi japońską twórczość plastyczną i poprawiają mój nastrój.

J. Kachlicki: – Często ludzie pytają mnie: – Skąd czerpicie pomysły? Cóż, wystarczy wyjechać za miasto i obejrzeć krajobraz, pochodzić po lesie i zobaczyć, jakie piękne formy tworzy przyroda. W pamięci pozostają kwiaty z ogrodów, z łąk... Najwięcej jednak pomysłów dostarczają nam nasi klienci.

Dorota Lipowicz [mieszkanca Grodziska]: – Cóż można powiedzieć o rzeźbach wykonanych w pracowni pana Jana? Są cudowne! Uważam, że każde dzieło pana Kachlickiego i Macieja Pięty zawiera jakąś głębszą myśl. Instalacja walentynkowa przedstawiała dwa połączone w tańcu godowym ptaki, a więc widoczna jest zbieżność z symbolem jedności małżeńskiej, są nimi obrączki.

M. Pięta: – Na międzynarodowych zawodach z uwagą przyglądałem się pracom rzeźbiarzy-cukierników z Europy i całego Świata. W pracach tych utrwalone zostały tradycje wielu narodów.

J. Kachlicki: – Inwencję twórczą uskrzydla przyjazd znanego artysty. Dowiedziałem się, że z koncertem żywego słowa do Grodziska przyjeżdża znakomita aktorka Hanka Bielicka. Postanowiliśmy, że wykonamy i prezentujemy jej tort z instalacją kapelusza, nieodłącznego atrybutu aktorki. Pani Hanka była bardzo wzruszona i nie przypuszczała, że ktoś może wpaść na taki pomysł.

– Zaskoczył mnie również pewien klient, który zamówił instalacje w kształcie Viagry. Zastanawiałem się, czym kierował się zleceńodawca (śmiej).

Julia Osada [mieszkanca Stocina]: – Podziwiam tych cukierników. Za każdym razem, kiedy coś ciekawego się wydarzy, oni już mają nową ekspozycję!

M. Pięta: – W pamięci pozostaje mi cały czas moje pierwsze konkursowe zmaganie na mistrzostwach Polski. Zbliżałem się do końca i...PECH! Konstrukcja mej rzeźby okazała się niezbyt stabilna. Odpadł jej spory fragment. Zdenerwowałem się, chciałem odejść od stołu. Zauważył to jeden

z członków jury i przekonał mnie, żebym spróbował naprawić rzeźbę. Zająłem wówczas trzecie miejsce. Dzień ten będę pamiętał do końca życia, bowiem serdeczne i ciepłe odniesienie się do mnie jurora zachęciło mnie do doskonalenia swych umiejętności. J. Kachlicki: – Potem były już wyjazdy bardzo dalekie, zadania bardziej złożone. Pamiętny wyjazd do Las Vegas. Tam Maciek zajął dziewiąte miejsce. Zagwarantował Polsce zaproszenie na kolejne zawody. Miejsce w pierwszej dziesiątce wśród światowej elity cukierników to duża sprawa. Pytacie o ostatni sukces Macieja? Czwarte miejsce na zawodach w Rimini we Włoszech. Kompozycja pt. „Rajski Ogród” bardzo się podobała. Za nami znalazły się takie potęgi, jak reprezentacje amerykańskich i szwajcarskich cukierników.

M. Pięta: – Część prac po krótkim okresie prezentacji w witrynie trafia do naszego archiwum. Inne ofiarowywane są domom dziecka, stowarzyszeniom. Zapewne dostarczają wrażeń estetycznych i smakowych.

Piotr Zeidler [dziennikarz lokalnej prasy]: – Kilka razy pisałem o plastycznych pasjach mistrza Jana i jego ucznia Macieja. Bardzo lubię pisać o ludziach pozytywnie zakręconych.

Hanna Mańkowska [polonistka]: – Czy wyroby cukiernicze możemy uznać za dzieło sztuki? Żyjemy w czasach, które znają pojęcie awangardy, kiczu, komercjalizacji, Art. Deco. Nie dziwią już dzieła sztuki dadaistów, jak koło rowerowe czy pisuar. W wielkich muzeach, tj. MoMa w Nowym Jorku czy Muzeum Sztuki Dekoracyjnej w Paryżu możemy ujrzeć przedmioty codziennego użytku, jak meble, elementy wyposażenia. – Jeżeli Umberto Eco w swej „Historii piękna” pisze, – „Komercjalizacja wytwarza piękno przedmiotów, każdy zwyczajny przedmiot może zostać pozbawiony swojej funkcji jako przedmiotu użytkowego i sfunkcjonalizowany jako dzieło sztuki” – to czyż wyroby z cukierni mistrza Jana nie mogą być uznane za wyjątkowe dzieła? Przecież ich wytwórca nie skupia się tylko na produkcji kolejnego wyrobu cukierniczego, ale przelewa w nie swoją wrażliwość i wyobraźnię, by w takiej formie opowiedzieć o tym, co tkwi w człowieku, o jego wrażliwości na piękno. Dlatego więc nie..

Justyna RORCZAK
Błażej KACZMAREK

Pol. Jachowicz / Włochy

Kaliskie Spotkania

– magiczne, choć elitarne

W dniach 6-13 maja odbyły się 46. Kaliskie Spotkania Teatralne, niezwykle prestiżowy i ceniony Festiwal Sztuki Aktorskiej.

Założeniem „Spotkań” była z początku prezentacja nowatorskich, godnych uwagi spektakli polskich teatrów. Obecnie jest to właściwie przegląd wybitnych kreacji aktorskich, nie tylko polskich. Kaliska scena gościła w tym roku również teatry z Czech, Słowacji, Ukrainy, Białorusi. Poznań reprezentował Teatr Nowy z nagrodzonym na Festiwalu w Edynburgu „Faustem”. W sumie podczas tegorocznych Kaliskich Spotkań Teatralnych pokazano 22 spektakle, w tym 19 konkursowych.

Większość spektakli wystawiano w Kaliszu, poza drobnymi wyjątkami – na „Nakręcaną pomarańczę” Anthony’ego Burgessa, „Ifigenię w Aulidzie” wg Eurypidesa i „Lacrimozę” Grzegorza Brała zorganizowano wyjazdy do Wrocławia, Opola i Ostrowa Wielkopolskiego.

Spotkania prezentowały spektakle

Polskiego we Wrocławiu), László Bérczes (reżyser Teatru Barka w Budapeszcie, nauczyciel akademicki, krytyk teatralny), Piotr Kruszczyński (reżyser, dyrektor artystyczny Teatru Dramatycznego w Wałbrzychu), Jacek Wakar (krytyk, były redaktor naczelny miesięcznika „Foyer”, obecnie redaktor i recenzent teatralny w „Dzienniku. Polska. Europa. Świat”) przyznało dwie równorzędne nagrody Grand Prix Festiwalu oraz Statuetki Wojciecha Małgorzacie Rożniatowskiej za rolę Anity Szaniawskiej w monodramie „Uwaga złe



kle niezwykle różnorodne. Mogliśmy podziwiać zarówno gwiazdy takie jak Katarzyna Figura („Alina Na Zachód” Teatr Dramatyczny w Warszawie), jak i dokonania eksperymentalne Teatru Pieśń Kozła („Lacrimosa”). Były dramaty psychologiczne („Taśma”, „Uwaga – złe psy!”), jak i spektakle odważne, kontrowersyjne, nowatorskie („Woyzeck”, „Nakręcana pomarańcza”).

Jury 46. Kaliskich Spotkań Teatralnych w składzie: Ewa Błaszczyk (aktorka teatralna i filmowa, obecnie jest aktorką Teatru Studio w Warszawie), Kinga Preis (aktorka teatralna i filmowa, obecnie aktorka Teatru

psy” Remigiusza Grzeli w reżyserii Michała Siegoczyńskiego z Teatru Wytwórnia w Warszawie oraz Sławomirowi Maciejewskiemu za rolę Henryka w spektaklu „Ślub” Witolda Gombrowicza w reżyserii Elmo Nüganena z Teatru im. Wilama Horzycy w Toruniu.

Dwie równorzędne Główne Nagrody Aktorskie otrzymali Magdolnie Vass za rolę Iriny w spektaklu „Trzy siostry” w reżyserii Attili Vidnyánszky’ego z Węgierskiego Teatru Narodowego im. Giuli Illiesza w Beregowie oraz Zsoltowi Trillowi za rolę Solonego w spektaklu „Trzy siostry” w reżyserii Attili Vidnyánszky’ego z Węgierskiego Teatru Narodowego im. Giuli Illiesza w Beregowie.

Dwie równorzędne Nagrody Aktorskie przyznano Katarzynie Figurze za rolę

Gerdy w spektaklu „Alina na zachód” Dirka Dobbrowa w reżyserii Pawła Miśkiewicza z Teatru Dramatycznego w Warszawie oraz Sebastianowi Pawlakowi za rolę Franka Woyzecka w spektaklu „Woyzeck” Georga Büchnera w reżyserii Mai Kleczewskiej z Teatru Wojciecha Bogusławskiego w Kaliszu.

Nagrodę za Rolę Drugoplanową przyznano Władasowi Bagdonasowi za rolę Ignacego w spektaklu „Ślub” Witolda Gombrowicza w reżyserii Elmo Nūgarena z Teatru im. Wilama Horzycy w Toruniu.

Nagrodę zespołową, otrzymał Teatr



Pieśń

Kozła we Wrocławiu za spektakl „Lacrimosa” w reżyserii Grzegorza Brała a nagrodę specjalną Teatr Konsekwentny w Warszawie za spektakl „Taśma” Stephena Belbera w reżyserii Michała Siegoczyńskiego.

Pięć równorzędnych wyróżnień przyznano Izabelli Piątkowskiej za rolę Gośki w spektaklu „Woyzeck” Georga Büchnera w reżyserii Mai Kleczewskiej z Teatru Wojciecha Bogusławskiego w Kaliszu, Jolancie Olszewskiej za rolę Niemej w spektaklu „Alina na zachód” Dirka Dobbrowa w reżyserii Pawła Miśkiewicza z Teatru Dramatycznego w Warszawie, Nelli Szücs za rolę Nataszy w spektaklu „Trzy siostry” w reżyserii Attili Vidnyánszky’ego z Węgierskiego Teatru Narodowego im. Giuli Illiesza w Beregowie, Krzysztofowi Draczowi za rolę Eggerta w spektaklu „Alina na zachód” Dirka Dobbrowa w reżyserii Pawła Miśkiewicza z Teatru Dramatycznego w Warszawie oraz Karolowi Kręcowi za rolę Karola w spektaklu „Woyzeck” Georga Büchnera w reżyserii Mai Kleczewskiej

z Teatru Wojciecha Bogusławskiego w Kaliszu.

Nagroda specjalna Dyrektora Festiwalu – statuetka Wojciecha przypadła Węgierskiemu Teatrowi Narodowemu im. Giuli Illiesza w Beregowie za spektakl „Trzy siostry” w reżyserii Attili Vidnyánszky’ego. Nagrodę specjalną dziennikarzy 46. Kaliskich spotkań Teatralnych otrzymała Małgorzata Rożniatowska.

Na szczególną uwagę zasłużył moim zdaniem spektakl Teatru Pieśń Kozła „Lacrimosa” wystawiany w synagodze w Ostrowie Wielkopolskim. Być może nowy spektakl nie dorównał swemu poprzednikowi „Kroniki – obyczajny”.

jednak należy mu się niema-

łe uznanie. Mistyczne śpiewy i płonące księgi w surowym, klimatycznym wnętrzu, aktorzy w białych szatach pełni powagi i szaleństwa zarazem, widzowie zostali przeniesieni do innego fascynującego i przerażającego wymiaru... Naprawdę warto zobaczyć, usłyszeć i odczuć ten spektakl, dla poznańskich widzów taką okazją jest festiwal „Malta”, na którym Teatr Pieśń Kozła również gości.

Kaliskie Spotkania są wydarzeniem niezwykle, prawdziwą ucztą dla miłośników teatru. Przez osiem dni Kalisz był miastem magicznym, centrum kultury. Festiwal cieszy się coraz większym uznaniem. W tym roku spektakle prezentowane podczas Spotkań obejrzało 4784 widzów i 20 dziennikarzy. Niestety festiwal pozostaje wydarzeniem dość elitarnym, a to ze względu na ceny biletów. Wahały się one w granicach 30-120zł za bilet normalny i 24-96zł za bilet ulgowy. Stanowi to pewne ograniczenie, szczególnie dla młodych miłośników teatru, którzy chcieliby obejrzeć więcej spektakli.

Maria MARKIEWICZ

Zdjęcia arch. Teatru im. Wojciecha Bogusławskiego w Kaliszu

Dlaczego właśnie ja?

Zapewne od zarania dziejów ludzie zastanawiają się nad sensem istnienia, sensem życia. Dlaczego ludzie uczciwi i sprawiedliwi cierpią? Dlaczego nieszczęścia i śmierć spotykają ludzi niewinnych? Te pytania

wydają się być jednymi ze stawianych najczęściej.

Książka „Dlaczego właśnie ja? Kiedy złe rzeczy zdarzają się dobrym ludziom”, autorstwa teologa i rabin-a kongregacji Great Neck (Nowy Jork) i Natick (Massachusetts) Harolda S. Kushnera, stara się

w sposób możliwie wnikliwy i mądry odpowiedzieć na te pytania. Ponieważ zaś odpowiedź jest jedna: „bez żadnego powodu” – książka stała się życiowym poradnikiem.

Wbrew pozorom nie jest to książka teologiczna, nie książka o Bogu i religii, a o najbardziej życiowych ludzkich problemach, o cierpieniu, wyzwoleniu, o miłości, gniewie, akceptacji i rezygnacji. Sam autor określa ją jako książkę „dla tych wszystkich, którzy chcą zachować wiarę, ale ich gniew na Boga wiarę tę podważa i nie pozwala im na znalezienie pociechy w Bogu”.

Inspiracją do napisania książki stała się dla autora osobista tragedia – nieuleczalna choroba 3-letniego synka. Dokładnie w dniu narodzin córki, rodzice Aarona dowiedzieli się, że ich syn choruje na progerię (przyspieszone starzenie się). Okaza-

ło się, że Aaron nigdy nie osiągnie 1 m wzrostu, nie będzie miał włosów na głowie i ciele i nadal będąc dzieckiem będzie wyglądał jak mały staruszek oraz że umrze jako nastolatek. To książka napisana przez człowieka wierzącego w Boga, w dobro świata – człowieka, który większość życia spędził próbując pomóc innym w umacnianiu ich wiary i którego osobista tragedia zmusiła na nowo do przemyślenia wszystkiego czego nauczył się o Bogu i jego dziele.

Właśnie wtedy zrodziły się myśli „Dlaczego ja?”. Autor przyznaje, iż poczuł głębokie i bolesne uczucie niesprawiedliwości. Czuł się dobrym człowiekiem, starał się żyć według przykazań Bożych. Co więcej, jego życie bardziej nawet było poświęcone religii, niż życie większości jego znajomych, którzy mieli zdrowe dzieci. Jak zatem coś takiego mogło spaść na jego rodzinę? Jeżeli Bóg istniał i miał najmniej-sze chociażby poczucie sprawiedliwości, nie wspominając o miłości i przebaczeniu, jak mógł do zrobić. Tym bardziej, że jeśli nawet sam Kushner zasługiwał na karę za coś, czego nie był świadomy – dlaczego miał cierpieć Aaron, niewinne dziecko, szczęśliwy i ufną 3-latek, który do końca swego życia miał cierpieć fizyczne i psychiczne udręki.

Tak powstała omawiana książka. Sam autor określa, że napisał ją z potrzeby utrwalenia w słowach kilku najważniejszych rzeczy, które dopiero wówczas odkrył i w które nauczył się wierzyć. Żeby pomóc innym ludziom, którzy pewnego dnia znajdą się w podobnej sytuacji.

Jakie więc są to wnioski?

Dlaczego zło dotyka dobrych ludzi? Dlaczego ludzie sprawiedliwi cierpią? To są właśnie pytania podstawowe, a wszystkie inne teologiczne rozważania są intelektualnymi igraszkami, które nie dotyczą spraw dla ludzi naprawdę istotnych.

Wnioski autora są w istocie wnioskami dość banalnie prostymi, ale takimi, które z pewnością pozwalają normalnie żyć.



Przykład pierwszy. Ponieważ nie możemy być pewni, że poza ziemskim istnieniem inny, lepszy świat, w którym czeka nas na pewno szczęśliwe życie, zrobimy rozsądnie traktując świat ziemski tak poważnie jak tylko potrafimy, starajmy się korzystać z życia na Ziemi, na wypadek gdyby się okazało, że jednak jest to jedyny świat do naszej dyspozycji.

W innym miejscu autor dochodzi do wniosku, że sposobem zapewnienia sobie, że świat nie jest miejscem aż tak złym jakby się wydawało, że istnieją ważne powody żeby inni cierpieli jest składanie winy na ofiary. Ale czy rzeczywiście jako słuszny da się przyjąć taki na przykład pogląd, że gdyby Żydzi żyli inaczej, Hitler nie musiałby ich mordować?

Każdy swój wywód Kushner stara się uzasadnić licznymi przykładami z życia starając się przy tym przekazać jakąś mądrą myśl, która być może pozwoli cierpiącym łatwiej znosić przeciwności losu. Taką chociażby, że jeśli potrafimy uznać, że są sprawy nad którymi Bóg nie panuje i że to co nas spotyka niekoniecznie jest nieuchronną karą – możemy się do Boga zwrócić o pomoc. To wprawdzie nie rozwiąże naszych problemów, ale pozwoli przynajmniej żyć bez jarzma ciągłej winy i wierzyć, że jednak będzie lepiej.

Kolejne przemyślenie autora. Czasami nie ma żadnego powodu, dla którego coś się dzieje, a o zdarzeniu decyduje przypadek. Można wszak znaleźć jakąś przyczynę, nawet dla faktu, że ktoś nagle wybiega na ulicę i zaczyna strzelać do przechodniów, nie sposób już jednak wytłumaczyć dlaczego pan X, który przez lata właśnie o takiej porze przechodził w danym miejscu, akurat wtedy przeszedł tamtędy kwadrans później i to uratowało mu życie, a zginął pan Y, który w tym miejscu znalazł się po raz pierwszy. Dlatego – konkluduje – nawet przy najgłębszej wierze w Boga, nie zawsze trzeba na nim polegać, a w wielu sytuacjach wręcz nie należy. Lepiej na przykład nie polegać na nim chociażby w takich sprawach, jak kierunek lotu strzały czy kuli podczas wojny. Z pewnością nie warto też przewidywać choćby kierunku

i siły huraganu, siły trzęsień ziemi na podstawie ocen, które miasto czy miejsce zasłużyło na zniszczenie, a które powinno zostać oszczędzone. Nie negując faktu, że, że prawa przyrody działają precyzyjnie i nie podlegają zmianom (np. prawo grawitacji) musimy po prostu nauczyć się żyć z nimi pocieszeni i wsparci świadomością, że trzęsienia ziemi, wypadki drogowe, morderstwa i grabieże zdarzają się i będą się zdarzać nie z woli Boga, ale reprezentując aspekt rzeczywistości niezależny od woli Bożej, który Boga oburza i zasmuca tak samo jak oburza i zasmuca nas. Zatem musimy zdawać sobie sprawę, że prawa natury nie robią wyjątków dla ludzi miłych, dobrych czy młodych. Tak już jest że kula nie ma sumienia tak jak nie ma go złośliwy rak, czy samochód nad którym kierowca stracił panowanie. Nie robią wyjątków dla szczególnie dobrych i szczególnie złych ludzi. Przykładowo, w domu w którym panuje zakaźna choroba, ryzyko zakażenia ponosi każdy.

Autor, sam boleśnie doświadczony przez los potrafi też nas przestrzec, że jedną z najgorszych rzeczy dla człowieka zranionego przez życie jest jego własna tendencja do zwiększania rozmiarów nie-szczęścia przez dalsze zadawanie sobie bólu.

Tego rodzaju mądre spostrzeżenia spotykamy na każdej niemal stronie książki. Dlatego naprawdę warto ją przeczytać. Przemyślenia człowieka, którego dotknęła osobista tragedia faktycznie mogą okazać się pomocne, kiedy nam samym przyjdzie pokonywać różne przeciwności.

Zapewne też dlatego książka Harolda S. Kushnera jest jednym z największych bestsellerów wśród książek duchowych i poradników.

K. MACIEJEWSKI

Harold S. Kushner, DLACZEGO WŁAŚNIE JA?, Kiedy złe rzeczy zdarzają się dobrym ludziom, ZYSK i S-KA Wydawnictwo, Poznań 2006

Ludzie książki, nie obrazu...

„Pegaz” w gościnie u Katarzyny Branieckiej, właścicielki galerii i promotorki sztuki.

Z wykształcenia jest polonistką, ale o tym naprawdę mało kto pamięta. Bo od ładnych kilku lat Katarzyna Braniecka i jej Poznańska Galeria Nowa przy ulicy Paderewskiego kojarzy się z najlepszymi i najciekawszymi wystawami polskiej sztuki współczesnej. To jej zawdzięczamy retrospektywną wystawę Teresy Pągowskiej, Jana Dobkowskiego czy Milana Knížaka w Poznaniu.

– Zaczęło się od ...poznania mojego męża Włodzimierza – śmieje się Katarzyna Braniecka. – On wtedy, to znaczy w latach 70-tych, założył galerię. A ponieważ mieściła się ona we foyer Teatru Nowego, nazywała się Galeria Nowa. Galeria działała do

1989 roku i wtedy zakończyła działalność. Ale ze sztuką zawsze było mi po drodze, zawsze się interesowałam malarstwem. Najpierw była to tylko pasja – ale później pomyślałam, że właściwie dlaczego mam całe życie

harować i nie mieć z tego ani pieniędzy, ani przyjemności. I postanowiłam coś zmienić w swoim życiu, i robić coś dla siebie...

Tak powstała pierwsza galeria: Galeria Gołębia 10, którą Katarzyna Braniecka prowadziła wraz z przyjaciółką w niewielkiej piwnicy właśnie przy Gołębiej 10. Po kilku latach przyszedł czas na samodzielność. Ale nowa galeria powstała już z profesjonalnym planem marketingowym. Głównym celem było oczywiście wystawiennictwo, do tego dochodziła działalność wydawnicza, czyli katalogi, foldery, zaproszenia, działalność edukacyjna – no i handlowa, bo galeria miała na siebie zarabiać. Fantastyczne, klimatyczne miejsce znalazło się w Pasażu Niebieskim przy ulicy Paderewskiego w Poznaniu – dawniej Nowej... A profil galerii?

– Zaczęłam po prostu od wystawiania tych artystów, których lubię – uśmiecha się Bra-

niecka. – I to nie było tak, że od razu sięgnęłam po tych najbardziej znanych z górnej półki. Na to, żeby mogła ich wystawić, musiałam sobie naprawdę ciężko zapracować... Poza tym ja się uczę czegoś za każdym razem i pewne rzeczy bardziej mi się podobają, pewnie mniej, z czasem to się też zmienia. Ale tak naprawdę w sztuce interesują mnie emocje i postać człowieka w malarstwie czy w rysunku, bo ona jest najistotniejsza. W ogóle wiele rzeczy w sztuce mi się podoba, ale nie wszystko jestem w stanie zaprezentować. Staram się pokazywać artystów z różnych stron Polski, ale też i z Poznania, choć to jest trudniejsza rzecz, bo znam ich w większości osobiście, no i w związku z tym czasami trudno tu o obiektywizm...

Ostatnio bardziej się zainteresowałam młodszym pokoleniem artystów – ale zawsze jest to wyłącznie sztuka współczesna, najczęściej malarstwo i rysunek. Rzadko pokazuję grafikę czy rzeźbę, bo nie znalazłam w nich czegoś takiego, co by mnie szczególnie ujęło...

Na te naprawdę wielkie wystawy Galeria Nowa jest jednak za mała, Katarzyna Braniecka prezentuje je więc wszędzie tam, gdzie są odpowiednie warunki lokalowe: w Muzeum Narodowym, Muzeum Archeologicznym lub Galerii Miejskiej Arsenal. W Muzeum Narodowym można było oglądać wielką wystawę prac Teresy Pągowskiej. W Muzeum Archeologicznym – Knížaka, a ostatnio Dominika. W Arsenalu do niedawna można było podziwiać prace Marka Sepetto, a w Odwachu Fałata, Dobkowskiego, Maśluszczaka, Fliegera – i tak można by wymieniać jeszcze długo... A wszystko to w mieście, które tradycyjnie uchodzi za mało przyjazne artystom.

– Coś prawdy w tym jest – przyznaje Braniecka. – Mnie oprócz odbioru sztuki interesuje także handel sztuką, bo z tego żyję – i tu jest nie najlepiej. Przede wszystkim dość późno powstało tu środowisko artystów, to nie jest Kraków, więc tradycje nie są zbyt bogate. Ale nadrabia to większą niż Kraków otwartością na nowe nurty i wpływy... Poza tym ja wprowadzam na





rynek pewne rzeczy, z którymi odbiorcy i potencjalni kupujący mają pierwszy raz kontakt właśnie u mnie, to też wymaga oswajania. To funkcja edukacyjna – dlatego właśnie wystawom towarzyszą wydawnictwa, bo to one budują pozycje artysty w świadomości odbiorcy. Problemem polskiego rynku jest niezwykle mała ilość publikacji na temat polskiej sztuki współczesnej, a jeśli już są, to bardzo subiektywne i w dodatku prezentujące tylko kilku wybranych artystów. Brakuje jakiegoś całościowego i obiektywnego spojrzenia na bieżąco – na przykład gazety o sztuce...

Zdaniem Katarzyny Branieckiej problem leży też w tym, że Polacy zawsze jako naród byli bardziej ludźmi książki niż obrazu. Wynika to stąd że w czasie tych wszystkich wojen, najazdów i ucieczek, które nawiedzały nasz kraj, znacznie łatwiej było do worka zapakować książkę niż obraz...

Zajmowanie się sztuką w Poznaniu utrudnia też fakt, że artyści uciekają z tego miasta – i to jest naturalna tendencja, życie artystyczne ogniskuje się w stolicy, bo tam jest rynek. To Filip Bajon kiedyś powiedział, że żeby zrobić karierę, to trzeba wyjść z Poznania. I oni tak robią. Najlepszym przykładem tego jest Teresa Pągowska, która studiowała w Poznaniu, ale po studiach wyjechała – i zrobiła karierę. Choć jest to miasto położone w połowie drogi między Warszawą a Berlinem, to jednak jak na razie nic z tego nie wynika, a pociąg zatrzymuje się tu tylko na chwilę...



– Czy to znaczy, że tu nie ma klimatu do pracy? – zamyśla się właścicielka Poznańskiej Galerii Nowej. – Może nie tyle klimatu, co raczej... tu jest specyficzna sytuacja środowiskowa, takie bardzo tradycyjne układy, także w sztuce, a przecież by sztuka się mogła rozwijać, musi być zdrowa – naprawdę zdrowa konkurencja. Ale inne miasta też mają swoje wady: w Warszawie żyje się za szybko i wtedy sporo gubi się po drodze. W Krakowie z kolei uważa się, że tego czasu jest aż za dużo – i też przez to wiele rzeczy umyka. W Poznaniu powiedziałabym, że jest w sam raz. ...I nie chciałabym się przenieść ani do Warszawy, ani do Krakowa. To jest moje miasto, tu mieszkam i chcę mieszkać, a tam wolę jeździć, załatwić sprawy i wrócić. Zresztą co bym miała tam pokazywać? Warszawiaków?

Myśli Katarzyny Branieckiej zebrała i spisała Lilia ŁADA.

il. J. J. J.

Malty ani widać, ani czuć...

Tegoroczny Festiwal Malta niestety potwierdził moje przypuszczenia. Z Malcią dzieje się coraz gorzej. Choć na festiwalu pojawiają się gwiazdy, można je jednak oglądać za duże pieniądze. Festiwal, mimo obietnic, staje się coraz mniej plenerowy i coraz bardziej płatny.

Nadal z sentymentem

wspominam „Malty” sprzed kilku lat.

Było wtedy mnóstwo spektakli plenerowych, następujących po sobie właściwie bez przerwy. Biegano się nad poznańską Malcią z jednego jej krańca na drugi od wczesnego popołudnia do późnego wieczora wciąż oglądając coś ciekawego. Wiele działo się również na Starym Rynku, można go było obchodzić w koło bez końca, co chwilę natykając się na spektakl, występ mima czy też barwną paradę. Teraz spektakli plenerowych jest znacznie mniej, poza tym wszystko dzieje się



zazwyczaj wieczorem i to o tej samej porze. Poza tym nie czuć, nie widać Malty. Osoby nieorientowane mogły spacerować po mieście i w ogóle nie zauważyć, że trwa Maltański Festiwal.

Mimo obietnic i zapewnień

wciąż większość spektakli i imprez była płatna.

Co prawda pojawiło się więcej spektakli plenerowych, jednak nadal było ich stanowczo za mało, ponadto w przeważającej większości nie były to występy na zbyt wysokim poziomie. Zabrakło też wielkich gwiazd, od których z kolei roilo się w poprzednich edycjach Festiwalu Malta. Mam tu na myśli gwiazdy bezpłatne, gdyż

gwiazdą z pewnością była grupa Cocorose otwierająca swym występem tegoroczny festiwal, jednak nie wszystkich było stać na bilet. Wśród spektakli płatnych pojawiły się również takie znakomitości jak Teatr Pieśń Kozła z „Lacrimosą”. Miłośnicy tańca mogli obejrzeć w Starym Browarze cały cykl „Nowy Taniec Na Malcie” (Szczególnie ujmująca była kubańska tancerka i pieśniarka Aline Sanchez Rodriguez współpracująca z duńskim teatrem Granhøj Dans. Spektakl miał w dużym stopniu charakter autobiograficzny, był bardzo klimatyczny, a w przerwie serwowano kubański rum ;) Były też liczne koncerty, wykłady, wszystkie jednak (nawet niektóre wykłady) płatne. Choć spektakli plenerowych nie było zbyt wiele,

kilka jednak zasługuje na uwagę.

Na pozytywne wyróżnienie zasługuje z pewnością projekt Angie Hiesl, artystki z Niemiec, „X-times people chair”, nagrodzony w 1998 Europejską Nagrodą Teatrów Ulicznych. Pomysł jest prosty a jednocześnie niezwykle. Na Starym Rynku oraz na przylegających do niego uliczkach, na wysokości kilku metrów nad ziemią, do kamieniczek przyśrubowano krzesła. Na krzesłach siedziały różne osoby, oddając się codziennym czynnościom – starsza kobieta kroili chleb, inna czytała książkę, jeszcze inna piła kawę, sympatyczny Kubańczyk przygrywał i nucił, emerytowany piłkarz czyścił trampki.... Było to na prawdę urocze i mile dla oka widowisko. Poznańscy widzowie mieli także okazję obejrzeć dość efektowny

taniec na ścianie Novotelu

amerykańskich artystów zawieszonych na linach (Project Bandaloop).

Jeśli chodzi o typowych artystów ulicznych organizatorzy festiwalu Malta zaprosili twórców z różnych krajów reprezentowanych przez hiszpańską agencję artystyczną Free Art. Mogliśmy obejrzeć wiec

niemieckich komików, stepujące Hiszpanki, pokaz żonglerki czy też spektakl na trapezie. Niektóre pokazy były

nawet całkiem sympatyczne, inne troszkę nudnawe.

Bardziej to przypominało jarmarczną rozrywkę niż punkt festiwalu teatralnego. Jak zwykle zawiodła też strona organizacyjna. Artyści występowali na scenie ustawionej na Starym Rynku, scena jednak była niezwykle tandetna, tylna ściana była dziurawa, w niektórych miejscach podklejana, wyglądało to delikatnie mówiąc mało estetycznie... Czyżby poznańska oszczędność nie pozwoliła na wypożyczenie czegoś na poziomie? To chyba nienajlepiej świadczy o całym festiwalu i o naszym mieście.

Spośród spektakli plenerowych, które odbywały się nad Maltą szczególnie duże wrażenie zrobił na mnie spektakl „3600”, który powstał we współpracy dwóch teatrów, z Irlandii i Francji – Boilerhours oraz Metalovoice (ten ostatni mogliśmy już podziwiać w 1999 roku nad Maltą ze spektaklem „Espece H”). Był to spektakl inteligentny, zarówno efektowny jak i dający do myślenia, czego z kolei nie można powiedzieć o „Street Comedy with Dreams and Illusions” greckiej grupy Helix Theatre, który był niezwykle widowiskowy, lecz pusty.

Tegoroczna Malta nie była zła, nie była jednak zachwycająca i oczywiście

nie umywa się do festiwali sprzed kilku lat.

Choć miłośnik sztuki z pewnością znalazł dla siebie kilka dobrych spektakli, w przeważającej większości musiał za nie zapłacić... Przykro to pisać, jednak Festiwal Malta staje się festiwalem dla elit – miasto śpi, kto zapłaci dekletuje się sztuką w ukryciu. Organizatorzy Malty starają się wzbogacić festiwal i go uatrakcyjnić. W dużym stopniu im się to udało – na dużą pochwałę zasługuje wspomniany już przeze mnie cykl spotkań z teatrami tańca, który naprawdę warto było zobaczyć. Jednak pomimo tych pozytywnych punktów nie unikniemy stwierdzenia, że festiwal ten coraz bardziej odbiega od swych pierwot-

nych założeń, grono odbiorców zawęża się w zastraszającym tempie. Nie jest to już festiwal dla mieszkańców Poznania, lecz dla elit, które stać na obcowanie ze sztuką (aby naprawdę poznać smak Malty trzeba było wydać dobrych kilkadziesiąt złotych). Mam też, na koniec,

kilka zarzutów jeśli chodzi o kwestie organizacyjne.

Brakowało dobrej informacji na temat Festiwalu i zmian w programie. Kilka spektakli zostało odwołanych czy też przeniesionych na inny dzień, nikt jednak nie zadbał o poinformowanie publiczności. Gdy zdezorientowani widzowie błakali się wieczorem nad Maltą szukając spektaklu, którego nigdzie nie było widać, nie mieli u kogo zasięgnąć informacji na ten temat, nie było też np. kartki w miejscu, w którym miał odbyć się spektakl, informującej, że spektakl został odwołany bądź przeniesiony.

Podobnie wyglądało w centrum miasta.

Miejsca, w których można było zasięgnąć informacji o festiwalu były zamykane późnym popołudniem, tak więc

jeśli ktoś wybierał się do centrum wieczorem mógł zobaczyć jedynie zamknięte stoisko.

Miejmy nadzieję, że organizatorzy festiwalu wezmą do siebie liczne, krytyczne uwagi i zadbają o to by przyszłoroczna Malta była lepsza, by poznaniacy byli dobrze poinformowani o programie festiwalu i by mogli obejrzeć wiele dobrych, plenerowych, bezpłatnych widowisk. W przeciwnym razie Festiwal Malta już całkowicie przemieni się w wydarzenie dla elit, na którym wypada się pokazać a młodzi, spragnieni kontaktu ze sztuką ludzie zamiast siedzieć w Poznaniu pojedą na inne festiwale teatralne, których w Polsce jest latem coraz więcej lub też na odbywający się w tym samym terminie w Gdyni Open Air Festiwal, który choć drogi, może się okazać tańszą imprezą niż Malta...

Maria MARKIEWICZ





Polityka i kuchnia

Aleksander Szuszkiewicz, białoruski polityk, jeden z przywódców opozycji wobec rządów obecnego prezydenta – Aleksandra Łukaszenki i Jacek Żakowski – dziennikarz, publicysta, autor książek i telewizyjnych talk show, to dwie różne osobowości, ludzie, których na pozór łączy niewiele. Choć nie spotkali się bezpośrednio, a i ramy organizacyjne, przewidziane dla nich wyglądały zgola odmiennie, oba wydarzenia miały ze sobą znacznie więcej wspólnego, niż można by sądzić.

Publiczna debata z udziałem Aleksandra Szuszkiewicza odbyła się w przededniu wyborów prezydenckich na Białorusi. Największa sala wykładowa w budynku WSUS przy ulicy Głogowskiej wypełniła się po brzegi, a za stołem prezydialnym, prócz znakomitego gościa zasiadli: senator Marek Ziółkowski, poseł Jan Filip Libicki, prezydent Poznania Ryszard Grobelny, profesor Aldona Kamela – Sowirńska. Moderatorem był wykładowca WSUS – dr Paweł Semmler. Z kolei na spotkaniu z Jackiem Żakowskim obecna była przede wszystkim młodzież, nie tylko studiująca w WSUS, ale i studenci i uczniowie z całej Wielkopolski. Tym razem nie rozmawiano przede wszystkim o polityce; sporo dyskutowano o dziennikarstwie i o polskich mediach a także o globalizacji informacji. Pozornie różne tematy, odmiennie spojrzenia...

Znany polityk i kontestator białoruskiej rzeczywistości publicznej odwiedził Polskę między innymi dlatego, aby uświadomić nam, jak wielu jego rodaków opowiada się za prawdziwą demokracją. Zamiarem Aleksandra Szuszkiewicza było również ukazanie, jak od zaplecza, czyli od polityczno – społecznej kuchni prezentuje



się demokracja w wydaniu obecnego prezydenta Białorusi i jego współpracowników. Wiele z gorzkich przepowiedni gościa WSUS spełniło się w przeciągu najbliższych miesięcy, a nawet

tygodni. Dziś, póki co, Łukaszenka ma się dobrze, a demokratyczna fasada (choć to kpiny z demokracji) jego reżimu tu i ówdzie traktowana jest z całkowitą powagą. To też zresztą element politycznej kuchni.

Jacek Żakowski w trakcie spotkania mówił wiele o tym, jak trudnym i niewdzięcznym jest zawód dziennikarza. Wspominał o rozdziwieniu pomiędzy oczekiwaniami idealistycznie nastawionych adeptów zawodu i rozczarowaniach, a niejednokrotnie i załamaniach, jakie czekają za drzwiami redakcji. Czy rzadkie chwile satysfakcji nagradzają tę codzienność? Tak, odpowiadał Jacek Żakowski, jeśli udzieli się samemu sobie zgody na poniesienie wysokich kosztów uprawiania zawodu.

Jest zatem nietatwo obracać się w środowisku polityki i w świecie mediów, gdzie kuchennymi drzwiami wprowadzane są normy niejednokrotnie sprzeczne z elementarnymi normami etyki i moralności. Obaj goście byli wszakże zgodni w tym, że subtelna różnica wyboru drogi kariery i satysfakcji zawodowej świadczy o klasie polityka i uczciwości dziennikarza. Środowiska te zresztą są ze sobą ściśle powiązane i co nie powinno zaskakiwać – wzajemnie od siebie zależne. Wielu dziennikarzy rozpoczyna z czasem karierę polityczną, a niemal każdy polityk ma w swoim życiu krótszy lub dłuższy, ważny bądź marginalny epizod, kiedy staje się publicystą. Jednak w obu zawodach uczciwość i prawda jest wartością najwyższą. Goście WSUS zdają się w swoich środowiskach należeć do mniej licznych, którym te wartości wyznaczają drogę poprzez życie.

Tomasz DYMACEWSKI

fol. archiwum WSUS



fot. archiwum WSUS

Uznanie dla Biura Prasowego Pielgrzymki Akademickiej

70 jubileuszowa Pielgrzymka Akademicka przeszła do historii jako znaczny sukces młodego zespołu dziennikarskiego, złożonego głównie ze studentów WSUS.

Myśl o bieżącym dokumentowaniu pobytu profesorów i studentów w Jasnogórskim Sanktuarium Maryjnym poprzedziły rozmowy pomiędzy władzami Uczelni i kierownictwem poznańskiego ośrodka Duszpasterstwa Akademickiego. Orędownikami stworzenia Centrum byli przede wszystkim: Rektor WSUS prof. dr hab. Michał Iwaszkiewicz i ks. biskup Marek Jędraszewski, w poznańskiej kurii metropolitarnej opiekujący się DA. Przygotowanie młodej kadry dziennikarskiej i całkowite wyposażenie w sprzęt wzięła na siebie Wyższa Szkoła Umiejętności Społecznych, wobec której – jak podkreślił JM Rektor w czasie spotkania z zespołem Biura Prasowego Pielgrzymki – obowiązywał kredyt pełnego zaufania w połączeniu z wiarą w siły i umiejętności młodzieży. W czasie spotkania Rektor przypomniał też, że po raz pierwszy doszło do tak ścisłej współpracy redakcji obu wydawanych w WSUS gazet studenckich: poznańskiej „Łoży” i katowickiej „Stopy”. Specjalne podziękowania przekazano opiekunom: dr Katarzynie Bocheńskiej, która koordynowała całość poczynąń dziennikarskich i mgr Michałowi Szyszce, który „dowodził” grupą z Katowic.

Dla uczestników dziennikarskiej wyprawy na Jasną Górę szczególnie istotne

były nie tylko ciepłe słowa, ale i konkretne wyrazy uznania w postaci dyplomów, które JM rektor wręczył w obecności dr Zdzisława Szkutnika – Dziekana DziKS i mgr Agnieszki Woch, Kanclerza WSUS. Dyplomy wręczono: dr Katarzynie Bocheńskiej, Patrycji Felińskiej, Katarzynie Muszyńskiej, Adrianowi Kaczmarkowi, Szymonowi Kostro, Krzysztofowi Paluszyńskiemu, Filipowi Praskiemu i Robertowi Pysce z Poznania oraz mgr Michałowi Szyszce, Alinie Karaś, Aleksandrze Niemczyk i Małgorzacie Staranowicz z Katowic. Miłym załącznikiem okazały się reporterskie torby podarowane uczestnikom spotkania wraz z życzeniami, aby służąc długo i szczęśliwie, stały się zaczątkiem zawodowego „posagu” młodych dziennikarzy.

Warto dodać, że zachęcenie dotychczasowym powodzeniem i wspierani przez Szkołę, młodzi dziennikarze przeprowadzili także kompleksową obsługę prasową Pierwszych Dni Estonii w Polsce i tradycyjnego spotkania „Lednica 2006”. Dotychczasowe doświadczenia zaowocowały założeniem biura prasowego, które gotowe jest podjąć wyzwanie obsługi jakiegokolwiek dużego wydarzenia medialnego. Dzięki temu studenci i adepci dziennikarstwa mają szansę zyskać niezbędne doświadczenie w pracy zawodowej, jaka w przyszłości stanie się ich udziałem.

T.D.



Wyższa Szkoła Umiejętności Społecznych

Ochrona Prawna Dóbr Kultury

Zarządzanie i Marketing

Negocjator, Menedżer Mediów, Menedżer Kultury,
Menedżer Promocji/Public Relations,
Zarządzanie Bezpieczeństwem i Porządkiem Publicznym,
Zarządzanie w Organizacjach Samorządowych

Dziennikarstwo i Komunikacja Społeczna

Dziennikarz, Edytor, Broker Informacji,
Marketing Polityczny

Informacja Naukowa i Bibliotekoznawstwo

Wydział Artystyczny

Malarstwo
Wzornictwo
Architektura wnętrz



POZNAŃ

ul. Głogowska 26, tel. (61) 886 28 06, 886 28 07 www.wsus.pl

STUDIA LICENCJACKIE, MAGISTERSKIE I PODYPLOMOWE
STYPENDIA: SOCJALNE, NAUKOWE, DOKTORANCKIE, HABILITACYJNE